Nr. 19. Poznań, Niedziela 12go maja 1895 r. Rok II.

PRZEGLĄD POZNAŃSKI.

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

„Przegląd Poznański“ wychodzi w każdą Sobotę.
Redakcya: Poznań, Strzelecka ul. 5. I.
Administracya: Piekary 7.
Rękopisów drobnych nie zwracamy

Przedpłata kwartalna wynosi w Poznaniu 3 Mr. (przyjmuje Administracya Piekary 7), w Niemczech i Austryi 3,75 Mr. (fl. 2.25). w innych krajach europejskich i w Ameryce 4.00 Mr. Prenumeratę przyjmują: Administracya, księgarnie i urzędy pocztowe w Niemczech i Austryi pod lit. II. t. 86. a.

Ogłoszenia: 20 fenigów od wiersza petytowego.
Pojedyńczy numer: w Poznaniu 35 fen. pod opaską 40 fen.

TREŚĆ.

Gaszenie ognia.

Prawo rzutu i prawo oporu zajmują w socyologii jedno z miejsc naczelnych. Jest to owa akcya i wywołana przez nią reakcya pierwszej, zależne jedna od drugiej, o treści zasadniczo różnej i zawsze rozbieżnem dążeniu. Ustawa przewrotowa jest tak silnym pociskiem, że niema tarczy dość obronnej, aby się przed nim zasłonić. Wywołać ona musiała i wywołała istotnie dawno nie widziany ruch umysłowy.

Przedstawiciele nauki, którym szermierki polemiczne politycznych stronnictw wydawały się niekiedy marną stratą czasu, poczuli się nagle zagrożeni w swem prawie zasadniczem swobodnego badania i bezwzględnego wypowiadania prawd zdobytych. Literaci, poeci, artyści, chętnie przebywający na Parnasie, skąd wzgardliwie spoglądali na hałaśliwy ruch demokratyczny, zlękli się damoklesowego miecza, który zawisnąć może nad każdem żywem uczuciem i każdą myślą śmiałą i szlachetną. Arystokraci umysłowi wszelkiego rodzaju, którzy chętnie byliby tłumy ludu odsądzili od prawa krytyki i obezwładnili wszechwładną opinię, poczuli, że przywileje ich zagrożone są już nie przez demokratyzacyą wiedzy, lecz przez zwykły policyjny knebel. Mieszczaństwo i burżuazya, chmurnie spoglądające na emancypacyjne dążności mas ludowych, zrozumiały, że ustawa występować będzie już nie w ich obronie, ale przeciwko nim, przeciwko swobodzie słowa, ruchu, inicyatywy, wreszcie krytyki i szyderstwa, na które pozwalać sobie było można, ile razy tylko zasadniczych interesów kieszeni nie naruszały. Konserwatyści: podpora i duchowi inicyatorowie ograniczeń, które wstrzymać miały wartki prąd współczesnego ruchu umysłowego, — spostrzegli wreszcie, że ostrzą miecz obosieczny, który i przeciw nim obrócić się może. A i Polacy, a raczej polscy posłowie po niejakiem wahaniu zmiarkowali, że dobrowolnie iść w jarzmo, zabraniają im elementarne zasady narodowe i instynkt samozachowczy. Słowem, gdyby nie centrum, rząd stałby dziś zupełnie osamotniony wśród nietajonej niechęci wszystkich warstw społecznych. Podnosiłby kołczan ze strzałami przeznaczonemi w pierwszym rzędzie ku okiełznaniu dążności demokracyi społecznej, lękając się je wypuścić. Demokracya zaś owa, założywszy ręce rozgląda się dokoła, jak jej wrogowie z obozów wszelkich miotają się rozpaczliwie, w obawie, że ciosy wymierzone dotkną już nietylko „partyą przewrotu“, ale sam rdzeń umysłowego życia, wszelki odruch nawet niezawisłej ludzkiej osobistości. Demokracya protestować nie potrzebuje, bo samo jej istnienie jest tu protestem.

Tak więc, choć z prawdopodobieństwem twierdzić można, że ustawa przewrotowa odrzuconą będzie, jest ona smutnym przejawem reakcyi. Przyniosła jednak już wielką korzyść, przywołując na pamięć społeczeństwu niemieckiemu, gdzie są najistotniejsze jego dobra i skąd właściwie grozić by mogło prawdziwe niebezpieczeństwo kulturze dzisiejszej. Wśród tej zgody, która zapanowała w obec zbliżającej się przewagi pikielhauby, mało przecież jest uznania, że wyższość naszych czasów nad innemi, to właśnie owa demokratyzacya wiedzy i myśli, demokratyzacya, której ostatecznym wynikiem być musi uświadomienie masy wśród której każdy, poczuwszy się człowiekiem, żądać będzie ludzkiej egzystencyi i poszanowania własnej godności.

Nie zdaje się to być równie jasnem współczesnym „protestantom“, co podnoszą tarcze dla odparowania ciosu, jak było jasnem myślicielom różnego kierunku, którzy przemawiali w naszem stuleciu. Bardzo ciekawą wiązankę ich poglądów zebrał profesor uniwersytetu w Zurichu J. Platter,*) wiązankę, z której przytoczę tu najwięcej przekonywające sentencye, probując je odpowiednio oświetlić.

A więc przedewszystkiem życie społeczne nie jest to życie jednostek. „Faktem społecznym, powiada *Gumplowicz*, nazwiemy taki, który stworzyły nie jednostki lecz grupy, powstać zaś może tylko przy działaniu dwóch przynajmniej grup odrębnych“.

Zasadą bytu społecznego byłoby przeto powstawanie, swobodny rozwój partyi politycznych, wyodrębnianie się grup społecznych, ich walka, a nie niwelacya i tłumienie życia!

Żyjemy w czasach panowania demokracyi, oświadczył Macaulay, zapowiadając w 1857 roku w liście do pewnego amerykanina wszystkie konsekwencye dzisiajszego rozwoju społecznego, wraz z podziałem społeczeństwa na klasy z ich walką i nienawiścią nieuniknioną na obu półkulach. W walce tej na powierzchni rozlegać się będą burze polityczne, a w głębiach nurtować głucha ekonomiczna walka. Tak było w angielskim ruchu *chartystów*, który żądał demokratycznej podstawy dla izby niższej, a był walką ekonomiczną proletaryatu. Wyraźnie wypowiedział to pastor *Stevens* przed zgromadzeniem 200,000 ludzi.

„*Chartyzm*, moi przyjaciele, to nie kwestya polityczna, to kwestya żołądka. *Charta*, to znaczy dobre mieszkanie, dobre jedzenie i posilny napój, utrzymanie odpowiednie i krótki czas pracy.“

Konieczność demokratyzacyi społeczeństwa w postaci równiejszego podziału praw i dostatków uznaje także anglik *Graham Summer*:

„Prawdziwe niebezpieczeństwo, jakie zagraża demokratycznemu państwu, polega na tem, że klasy posiadające zabierają dla siebie prawa, odrzucając wszystkie obowiązki“.

Ale przyjmując walkę między klasami i niebezpieczeństwo, jakie z niej wyniknąć może, *Gilon* (Walka o dobrobyt) ostrzega przed nadużyciem siły i uciskiem.

„Uciskać buntowników i siłą dusić rewolucyjne dążności to nie dość, aby rozstrzygnąć kwestyą społeczną. Przeciwnie: ujarzmieni mieć będą tylko jedną dążność: przygotować ostrzejszą broń, którą zapewnią sobie zwycięztwo, gdy przyjdzie na nich kolej.“

A nawet *Stepniak* zdecydowany zwolennik teroryzmu ruskich nihilistów przyznaje, że

„o ile naród posiada zasadnicze prawa polityczne, życie rozwijać się może prawidłowo i spokojnie.“

Kautsky zaś, teoretyk niemieckiej demokracyi społecznej, powiada, że prawodawstwo ludowe „doprowadziłoby do zupełnego rozkładu partyi“.

I z dziejów rzymskich, i to sięgających aż do konstytucyi Serwiusa Tulliusa wyprowadzić można argumenty wprost pobijające ustawę przewrotową, bo oto co powiada znakomity znawca stosunków społeczeństw pierwotnych i pierwszego okresu starożytnych *H. Morgan*:

„W oświetleniu, jakie rzuciły doświadczenia dzielących nas od owego okresu dwóch tysięcy lat, dojść musimy do wniosku, że nierówność przywilejów i zaprzeczenie praw do samorządu stworzyły owe olbrzymie zepsucie, które zmiażdżyło wreszcie państwo i lud. Rodzaj ludzki przekonywa się powoli, choć to prawda tak prosta, że lud lepiej potrafi bronić dobrobytu publicznego, niż jakaś uprzywilejowana klasa ludności“. Wreszcie Jan Jacoby występuje za swobodą myśli i ruchu:

„Wolność jest pożądanym celem zarówno dla pojedyńczego obywatela, jak i dla całych narodów. Państwo i narodowość są tylko środkami wiodącemi do celu i jako takie mają znaczenie. Swoboda umysłowa i polityczna są jedynie wiarogodnym miernikiem dla oceny życzeń, żądań i dążności narodu“.

Nietylko więc swobody myśli, ale możności nieograniczonego rozwoju politycznych partyi, demokratyzacyi społeczeństwa, rozpowszechnie-

*) „Freie Bühne“ zeszyt kwietniowy.

nia wiedzy, wreszcie praw człowieka i obywatela dla każdego, niezależnie od obozu, do któregoby należał, żądają najlepsze umysły naszego stulecia.

Czy zaprzeczymy prawdzie ich słów, żądając ograniczenia swobody stronnictw, które z istniejącym porządkiem pogodzić się nie chcą i nie mogą? A jednak taki wniosek wyprowadzić można z ogólnego nastroju opinii, który tak jasno wyraził się w protestach przeciwko ustawie. Masy, i to nie robotnicze, lecz tworzące inne stronnictwa powstały przeciw ustawie przewrotowej, ale wśród mas tych znaczna część oklasnęłaby prawo, zwracające się tylko ku zbyt śmiałym demokratycznym zakusom. Tymczasem wszystkie swobody naszego stulecia, całe owe wartkie życie umysłowe, którem tak słusznie pyszni się wiek nasz, są wynikiem szerokiego prądu demokratycznego, owej fali ludowej, która zrywając wszystkie łamy domaga się dla siebie swobody zupełnej, praw ludzkich, oświaty i dobrobytu. *Dr. Ż. D.*

POLITYKA.

Przegląd prasy polskiej zaboru pruskiego

„Dziennik Kujawski“ (Nr. 99) wypowiada takie opinie w sprawie „otwartego listu“ dr. Krzymińskiego:

„O wystąpieniu kujawskiego posła można mówić wiele; jeden ma zdanie takie, drugi sądzi inaczej, jedni chwalą, drudzy ganią. Przeciwko temu nic mieć nie można, albowiem kto występuje publicznie, ten z góry winien być przygotowany na różne sądy. Chodzi tylko o to, aby krytyka nie przekraczała granic umiarkowania.

Ponieważ w tym przedmiocie wypowiedziano poglądów obfitość, przeto odstępujemy z naszej strony od bliższego rozbioru pomienionego „listu“, to jednak uważamy za stosowne podnieść, że żądanie posła, aby postanowień Koła nie osłaniała gruba tajemnica, jest zdaniem naszem słuszne.

Niesmaczną, wprost wstrętną w całej „listem otwartym“ wywołanej wrzawie była uwaga, że poseł p. dr. Krzymiński zawdzięcza swój mandat pewnej jednostce — co robi wrażenie, jakoby społeczeństwo nasze podlegało zakulisowym rozkazom jakiegoś samozwańczego dyktatora.

Przeciwko jakimkolwiek zachciankom samowładczym należy nam się zastrzedz. Posłów obierają sobie i wybierają powiaty. W tym punkcie jest naród wolny i nigdy nie zgodzi się na to, aby mu jakakolwiek szara gęś posłów narzucała.“

„Gazeta Opolska“ pisze w Nr. 35.

„Jednym z najważniejszych obowiązków gazet polskich jest, aby pisały w duchu narodowym. Są jednak tacy, którzy do gazet polskich na Śląsku stawiają dziwne wymagania, a mianowicie życzyliby sobie stanowczo, iżby te gazety w odmiennym kierunku były redagowane, niż gazety polskie w innych dzielnicach, mianowicie w tych, które aż do ostatnich podziałów ziemi polskiej należały do Polski. Tym, którzy takie wymagania stawiają, chodzi głównie o to, aby duch polski na Śląsku nie przebudzał się, lecz usypiał i zamierał, jak to przed nie tak dawnym czasem jeszcze miało miejsce.

Pytamy wobec tego: Cóżby za korzyść wogóle przyniosły gazety polskie, gdyby tylko drukowane być miały po polsku, a nie starały się budzić ducha polskiego pomiędzy Czytelnikami i zagrzewać do umiłowania narodowości polskiej? Byłyby chyba jako miedź brząkająca lub cymbał brzmiący, których echo ginie bez korzyści. Smutnym dowodem na to, że gdzie nie ma ducha narodowego tam też i gazeta polska utrzymać się nie może, są mieszkający w Prusach Wschodnich Mazurzy. Przez 50 lat pracował na Mazurach zmarły niedawno Gerss dla ludu polskiego w ten sposób, jak dzisiaj niby chcą pracować ci, którzy wprawdzie krzyczą, że chcą bronić języka ojczystego, ale którzy o narodowości polskiej i o narodzie polskim jako jednej wielkiej całości radziby nic nie słyszeli. Gerss choć po polsku drukował swe gazetki i książki dla Mazurów, ale wszędzie chwalił pruskie czasy; „starego Frytza“ po prostu ubóstwiał, a Mazurów uważał za nie Polaków, ale za odrębny szczep, tak jak u nas chcą mieć nie Polaków, ale Ślązaków po polsku mówiących. I cóż się stało? Nie było i nie ma ducha polskiego pomiędzy Mazurami „Gazeta Lecka“ wydawana przez Gerssa mało miała czytelników, a dziś, po 50ciu latach wcale upadła. Dziś, gdzie Polacy w Berlinie, a nawet w Westfalii mają swe pisma polskie, dziś nie ma go przeszło trzysta tysięcy Mazurów w Prusach Wschodnich. A cóż tego powodem? Oto brak ducha narodowego, z czego płynie zobojętnienie dla własnego języka i narodowości.“

„Gazeta Grudziądzka“ (Nr. 54) zamieszcza następujące uwagi „o ruchu narodowym na Litwie pruskiej“:

„Żyjemy w czasach, w których się każdy lud więcej niż kiedykolwiek dopomina o swoje prawa narodowe. Ruchu tego nie zgniecie nawet najcięższe prześladowanie. Podczas, gdy pod zaborem rosyjskim pomimo knuta i więzienia wierni są religii i narodowości, nasi tu Litwini, których 150,000 żyje w okolicy Wystrucia (Insterburg), Kłajpedy (Memel) i historycznej Tylży zaniedbali swą narodowość i język. Niedawno dopiero i to w czasie, kiedy Niemcy rozpoczęli walkę przeciwnarodowościową, zbudziła się u Litwinów świadomość swej narodowości i praw Odezwali się o przysłanie im nauczycieli, władających językiem litewskim i upomnieli się dla Litwinów o stypendya ustanowione dla nich. Takich stypendyi po 100 talarów dla gimnazyum tylżyckiego jest 12, a dla królewieckiego 6 po 200 talarów. Większa ich część zamiast Litwinom dostaje się Niemcom! Tak samo się dzieje ze stypendyami polskiemi, lecz Polacy się nie dopominają, podczas gdy Litwini zamierzają wnieść protest przeciw zabraniu pieniędzy na ręce ministra oświaty Oby się poszczęściło Litwinom w tym ruchu narodowym, oby i bracia Mazurzy, chociaż się różnią wyznaniem, poczuli w żyłach swoich krew polską i nie pozwolili się germanizować dobrowolnie!“

Z powodu politycznej działalności duchowieństwa naszego w duchu „partyi dworskiej“ piszą do „Orędownika“ z Mogilna w Nr. 104.:

„Księża w wielu parafiach ciągle agitują przy każdej sposobności, robią wymówki, straszą: powstaje niepokój w rodzinach, obywatelstwie, jak gdyby księża byli do polityki a nie do Kościoła. W niektórych parafiach z partyi dworskiej i ludowej wyrobiła się partya z księdzem i przeciw księdzu. Księża tacy nie utrzymają ludu w polityce, a stosunki kościelne tracą na tem. Co gazety o tem piszą, to nic; trzeba być i żyć w takiej parafii, żeby widzieć, jak to ciągle wrze w ludzie, a to nie ustanie póty, dopóki proboszczowie i wikaryusze nie zaprzestaną niepokoić ludzi dla partyi dworskiej.“

W tym samym duchu odzywa się bydgoski korespondent „Orędownika“ w Nr. 100. Z długiej korespondencyi cytujemy końcowy ustęp:

„Przykrą rzeczą w Bydgoszczy jest stosunek duchowieństwa do tej ludności polskiej, na której się tam przyszłość narodowa opiera. Poszanowanie dla księży jest tu wielkie, ogólne i szczere; fara w Niedzielę jest tak nabita, że na kazanie podczas wielkiego nabożeństwa nie można się dosłownie dostać; mnóztwo ludzi stoi przy wieży i na cmentarzu, a nie rzadko się zdarza, że z kościoła wynoszą zemdlałe w natłoku panie, jakem na to patrzał zeszłej niedzieli. Księża bardzo nawet pracują dla klasy robotników, tylko nie widać naszych księży na zebraniach i zabawach tych towarzystw, na czele których stoją przywódzcy ruchu narodowego i ludowego. Komu to zawdzięczamy, wiemy wszyscy. Ale nie trzeba tracić nadziei; zwolna różnice te będą się zacierały, a wtedy może się i te stosunki naprawią, czego pragnąć należy“.

Przegląd prasy słowiańskiej.

Głowny organ czeskiej „Omladiny“ „Radikalní Listy“ występują z artykułem zatytułowanym: „Za svobodu politického i socyalniho przesviedczeni (przekonania)“, krytykując stronniczość sądów austryackich:

„Niezawisłość sędziego i najobjektywniejsze wymierzanie sprawiedliwości stanowią podstawy, na których spoczywa pewność żywota społecznego w państwie konstytucyjnem.

„Jest rzeczą znaną, że sprawiedliwość jest pojęciem relatywnem, każda warstwa społeczna widzi w niej coś odmiennego, widzi własne poglądy, całą materyalną i duchową atmosferę. Dziś jest tak, że przeszłe czasy i ludzie zmarli, którzy prawa dawniejsze, dziś obowiązujące, ustanowili, rządzą i sądzą żyjących. Ponieważ najwznioślejsze zmiany zaszły w stósunku proletaryatu do klas wyższych, przeto klasy niższe więcej aniżeli inne bywają narażane na niebezpieczeństwo przekroczenia ustaw. O tem powinni sędziowie nasi wiedzieć, aby potrafili sprawiedliwość wymierzać i aby pojmowali ży-

---

WŁADYSŁAW RABSKI.

ZWYCIĘŻONY.

Dramat w 4 aktach.

(Ciąg dalszy).

WARECKI

Co prawda, to syn mój ma słuszność. Zdaje mi się, mój Michale, że nadeszła chwila pokwitowania rachunku. Ja cię od żebraniny uratowałem.

RUSZCZEWSKI.

Tak... tak... jeżeli chcecie, to wezmę kosztur i pójdę.

WARECKI (*śmiejąc się*).

Tanio chcesz płacić rachunki swoje. Chociaż dom mój opuścisz, to dług twój długiem zostanie. O kiju wyszedłeś z własnego majątku. Brat twój rodzony, skąpiec i samolub odmówił ci gościny, a gdy wynędzniały do drzwi naszych zapukałeś, ja cię nie odepchnąłem. Przygarnąłem, lat 15 żywiłem, ocaliłem może od hańby i występku, bo głód jest niebezpiecznym doradzcą.

RUSZCZEWSKI (*obejmuje głowę rękami*).

A! miejcie litość nademną!

WARECKI.

A ty, czy masz litość nad nami? Chcesz nas zarżnąć.

KAROL.

Pragniesz ruiny mojej. Jeżeli ta przeklęta prasa palnie mi kazanie, to Wisłowski górą, a teść niedoszły figę mi pokaże.

WARECKI.

Zresztą wiesz dobrze, jak wysokie urzędy obywatelskie ja sam piastuję i *pro honore domus* stracić ich nie mogę. Wareccy są filarami szlachty, zagrożonej w swych przywilejach, a każdy cios, który w nas uderzy, na całym stanie odbić się musi. Tobie, cichemu człowiekowi, którego zaledwie najbliżsi znają, społeczeństwo wybaczy grzechy, — nam Wareckim nigdy. A imię Wareckich musi zostać czyste. Rozumiesz?

RUSZCZEWSKI.

Zabij mnie. Za wiele żądacie.

WARECKI.

Za wiele? Mam prawo żądać od ciebie drobnego poświęcenia, bo wydobyłem cię z błota, chleb ci dałem i przytułek.

KAROL.

Skończmy ojcze tę scenę. Honoru Ruszczewskich mierzyć nie można Wareckich miarą.

RUSZCZEWSKI (*siada złamany na fotelu i śmieje się boleśnie*).

Honoru... honoru?!

WARECKI (*z gniewem wzrastającym*).

Ty mało tracisz, my wszystko. Prezentuję ci rachunek z długiego lat szeregu i mówię: Zapłać! Jeżeli nie usłuchasz, jeżeli Wareccy runą przez ciebie, to w oczy ci plunę jak ostatniemu z nikczemnych. Słyszałeś? Wybieraj!

RUSZCZEWSKI (*wstaje i chwiejąc się postępuje ku Wareckiemu*).

Już nic nie mówcie... Dobrze... Rozkazujcie, w błoto wtrącćie... Tak, tak! Ja słuchać muszę... Rozumiecie? muszę.

WARECKI.

Dziękuję! To było uczciwe słowo (*chce go uściskać*).

RUSZCZEWSKI (*cofając się*).

Nie, nie! Bez uścisków! Płacę mój weksel i koniec.

(*wchodzi lokaj.*)

LOKAJ.

Pan Modliński przyjechał.

WARECKI.

Proś. (*Lokaj wychodzi, Warecki zwraca się do Ruszczewskiego*) Tylko spokojnie i do góry głowę. Pierwszy manewr teraz się rozegra. (*Wchodzi Modliński*).

Scena V.

Warecki, Karol, Ruszczewski i Modliński,

WARECKI.

Witam pana serdecznie pod strzechą naszą (*podaje rękę przybyłemu*).

cie społczesne jakiem jest, nie zaś trzymali się martwej litery prawa. Sądy powinny być niezawisłemi tak od policyi, jak też od nacisku zmieniających się co chwilę rządów. Stósunki dziś panujące w polityce są takie, że ludzie, których karano niedawno za przestępstwo, dziś uważani bywają za wybawców i pionierów myśli zdrowych.

„W państwie są klasy ludzi, których poglądy socyalno-polityczne między sobą się różnią. Państwo powinno przyznać racyą bytu tym poglądom, musi im pozostawić wolność, aby się mogły tak pojawiać, jak chcą. Tam gdzie rządy domagają się od sądów wymierzania kar przeciw ludziom innych poglądów socyalnych, dyskredytuje się pojęcie sprawiedliwości, gubi poczucie prawne, budzi gniew i nienawiść, wiodące do gwałtownych wybuchów.

Obecny proces, toczący się przeciw niezawisłym socyalistom, wskazuje, że nie karze się ludzi za uczynki, ale za przekonania i zasady. Ponieważ nie dostawało faktów, czytano listy, pieśni, rezolucye, a nawet zagraniczne broszury, aby przysięgli nabrali przekonania o nie bezpieczeństwie, jakie grozi społeczeństwu, choć obżałowani sami przyznawali się otwarcie, iż wyznawają zasady niezawisłej demokracyi socyalnej i skrajnego indywidualizmu.

„Ruch ideowy i polityczny nie powinien być nigdy stawiany przed forum nauki, ostrej krytyki i analizy. Pozostawmy pole wolne, wolne przejście wszelkim wytworom doby dzisiejszej! Co jest dobrem i zdrowem utrzyma się i będzie zadatkiem nowego rozwoju indywiduum i społeczeństwa, bo nic tego rozwoju nie wstrzyma; co jest złem i sztucznem zginąć musi, a nic w świecie, żadna agitacya nie ochroni go przed wyrokiem śmierci, wydanym przez dobę nową i nowe stósunki.“

* * *

„Il Pensiero Slavo“ pisze o stosunku Polaków do Słowian:

„Wiemy wszyscy, że Polacy galicyjscy stoją odosobnieni w świecie słowiańskim. Są oni jedynym narodem słowiańskim, który nic nie chce wiedzieć o solidarności słowiańskiej (?). Nienawiść ku Rosyi przewyższa w Polakach każde inne uczucie. Przez dłuższy czas byli oni w parlamencie wiedeńskim sprzymierzeńcami Niemców w walce przeciw Słowianom, a do pewnego stopnia są nimi dziś jeszcze. Czemu? Bo inni Słowianie chcą zostać Słowianami. Jeżeli kilkakrotnie łączyli się z Słowianami przeciw Niemcom, to nie czynili tego z poczucia solidarności słowiańskiej, ale dla zasad autonomicznych, bo przy autonomii, jaką posiadają, mogą utrzymać się przy władzy nad Rusinami w Galicyi (??).

„Czy Polacy będą głosowali za utworzeniem gimnazyum słowiańskiego w Celji? Z początku odpowiadano twierdząco na to pytanie, później „Przegląd“ lwowski temu zaprzeczył, ale o tem u nas pisano, że pismo to jest organem nielicznej tylko koteryi Koła polskiego.

„Fakt ten zresztą nie ma znaczenia wielkiego, bo Polacy choć są z krwi i kości Słowianami, nie są nimi z uczynków i przekonań, ich polityka nie jest słowiańską i w pierwszym rzędzie mają z nich pożytek Niemcy.

(„Il Pensiero Slavo“ wydawane jest przez Chorwatów. Za całą odpowiedź na te zarzuty niechaj nam posłuży przypomnienie faktu, że wszyscy posłowie chorwaccy z wyjątkiem kilku, zasiadający w sejmie zagrzebskim, których więc chorwacki naród wybiera, są ślepem narzędziem Madziara, pana Hedervaryego. Cóż, gdybyśmy ich reprezentacyę identyfikowali z polityką i przekonaniami chorwackiego narodu?! Przyp. tłom.)

* * *

Małoruski „Chliborob“, organ radykałów rusińskich, pisze o stósunkach panujących na Rusi węgierskiej:

„Jest cząsteczka naszej wielkiej ojczyzny, o której nigdy nie powinniśmy zapominać, jako o braciach ciężko nawiedzonych. Tą jest Ruś węgierska. Tam o prostym ludzie nikt nie myśli, opuszczony i zapomniany skazanym on jest na wymarcie, a tem gorzej dla nas, że pozwalamy mu ginąć tuż pod naszym bokiem.

„Rusini węgierscy nie mają świadomości narodowej, nie interesują się wcale kwestyą narodowościową, duchowni tamtejsi nie znają naszego stósunku do Polaków i Rosyan, a na Ukrainie nigdy nie słyszeli o Chmielnickim, lub Szewczence. Zbliżeniu pomiędzy Rusinami węgierskimi a nami stoi też na przeszkodzie różnica językowa. Nawet inteligentni Rusini węgierscy nie rozumieją języka Szewczenki.

„Ktoby chciał dla Rusinów węgierskich wydawać gazetę lub książki, musiałby je drukować czcionkami madziarskiemi.“

BADANIA NAUKOWE.

ŻYCIE NA MARSIE.

Niczem nie wstrzymany popęd człowieka do zgłębiania warunków istnienia tej materyalnej podstawy, na której się wszelkie istnieni opiera: ziemi, stworzył już w zaraniu cywilizacyjnego rozwoju ludzkości jedną z najstarszych i najciekawszych nauk: astronomię. Chciwy jednak wiedzy i buntujący się przeciw tajemnicom umysł ludzki niezadawalnia się badaniem kierunku i rodzajów ruchu ciał niebieskich, rozsianych dłonią Stwórcy po ogromie wszech świata; on radby im wydrzeć także tajemnicę ich przeznaczenia i bytu, a na podstawie studyów i spostrzeżeń śmiało buduje gmachy hipotez, nawet — co do organizmów, zamieszkujących przypuszczalnie niektóre przynajmnie z planet bliższych naszej ziemi.

Od dłuższego czasu zwraca na siebie uwagę uczonych zwłaszcza Mars, a na podstawie badań astronomów, odznaczających się większą ścisłością, choć mniejszą może fantazyą, niż Flammarion, wolno stwierdzić, że koniec 19 stulecia poszczycić się może stworzeniem empirycznego dowodu, że człowiek, żyjący na ziemi, nie jest anjedynem, ani też bezwarunkowo najbardziej myślącem, najwięcej umysłowo rozwiniętem stworzeniem w wszechświecie! W każdym razie ostatnie te badania uczonych upoważniają ich do powtórzenia o sobie: „Nec frustra signorum obitus speculamur et ortus.“

Bezpośrednim powodem, dla którego astronomowie zwrócili swą uwagę na Marsa i poczęli szukać śladów życia na nim, było odkrycie głośnych kanałów na tym planecie, które za pomocą dobrych szkieł — mimo ogromnego oddalenia, dzielącego Marsa od ziemi — można zupełnie dokładnie rozróżnić. Zajęto się szczegółowo tymi kanałami, a rezultaty spostrzeżeń, jakie poczynił p. Lowell w Arizonie, wywarły powszechnie bardzo silne wrażenie. Oto północno-amerykański badacz wyraził zapatrywanie, że owe kanały należy uważać za dzieło mieszkańców Marsa, i że jedyną uwagi godną wątpliwością, jaka przeciw twierdzeniu temu się nasuwa, jest ogrom pracy, potrzebnej do urzeczywistnienia podobnego dzieła. Z drugiej strony jednak zwrócono następnie uwagę, że w pewnych warunkach budowa takich kanałów mogłaby być znacznie ułatwioną; postawiono przytem szereg hipotez, z których następująca zdaje się najwięcej zgadzać z rezultatami najnowszych badań o Marsie.

Przypuśćmy, że niwelacyjna praca, jaką spełniają t. zw. atmosferilia, t. j. lód, woda, powietrze, które kiedyś i naszą ziemię uczynią zupełnie gładką, — postąpiła na powierzchni Marsa o tyle, że różnice w wysokościach wynoszą tam już wcale nieznaczną ilość stóp. Podobnie także i morza na Marsie są według naszych pojęć zupełnie płytkie. Trzeba dale przyjąć, że atmosfera jest tam o wiele rzadszą

MODLIŃSKI.

Żartuje hrabia To mi strzecha, urządzona jak pałac Cezarów lub byzantyńskie gineceum.

KAROL (*witając się*).

Pan tak rzadkim bywa u nas gościem.

MODLINSKI.

Droga daleka, panie Karolu, a interesów tyle, że aż głowa trzeszczy. I dzisiaj tylko minutkę zabawić mogę. (*do Ruszczewskiego*). A! Pan Ruszczewski! widzieliśmy się w miasteczku (*podaje mu rękę, a następnie zwraca się do Karola*). No! A jakże Karłowice? Bez wstępu zaczynam interes, bo u mnie zawsze się pali.

WARECKI.

Czemu ten pospiech? Sądzę, że pan dziś z nami wieczór przepędzi.

MODLINSKI.

Nie mogę hrabio. Dziś jeszcze muszę z plenipotentem moim w Orłowie odbyć konferencyę i zrewidować mączkarnię, a jutro rannym pociągiem odjeżdżam do domu na Kujawy, gdzie zakładam Kółko włościańskie. Całe życie moje to pociąg kolejowy, ale bez tej pracy gorączkowej dziś już żyć nie podobno. Pali się zewsząd, więc ratować trzeba. Jestem rolnikiem, kupcem, przemysłowcem, borowym, — czem chcecie. Dwoję się i troję i nie ustąpię z tej ziemi *usque ad finem*. Niemcy to naród czerstwy i zdrowy, od nich się uczę.

WARECKI.

Rezultaty wykazują, że nauka w las nie idzie. W przeciągu lat kilkunastu pan już piąty majątek kupujesz.

MODLIŃSKI.

Tak! w tych okolicach mamy zamiar zbudować cukrownię i chciałbym koniecznie dla buraczanej spekulacyi rozporządzać większym obszarem ziemi. Zasypują mnie zewsząd ofertami, ale dobra Karłowickie odpowiadają najwięcej widokom moim.

WARECKI.

Skiba w skibę pszeniczna gleba i położenie wspaniałe.

KAROL.

W obec tego jednak cena ofiarowana przez pana jest tak nizką, że zgodzić się na nią nie mogę.

MODLIŃSKI.

Ziemia to dobra, nie przeczę, ale zaniedbana zupełnie. Trzeba drenować i budować. Siedemdziesiąt talarów za morgę, to świetna cena. Jestem uczciwym człowiekiem i nikogo skrzywdzić nie pragnę. Nikt więcej za Karłowice ofiarować nie może.

KAROL.

Nikt? Kto wie!

MODLIŃSKI.

Chyba jedna kolonizacya.

WARECKI.

O! nie lękaj się pan. Judaszów nie ma w rodzinie Wareckich.

MODLIŃSKI.

W takim razie wątpię, czy spełnią się nadzieje panów. Karłowice dla zwykłego kupca, który ziemię ceni jedynie według jej produktywnej istoty, wyższej wartości nie mają. Ofiaruję 70 talarów za morgę i zapewniam, że nikt więcej nie da.

WARECKI.

Myli się pan, bo oto przed chwilą kuzyn nasz Ruszczewski przedstawił znacznie korzystniejsze propozycye.

MODLIŃSKI.

Pan Ruszczewski? (*do Ruszczewskiego*). Czemuż mi pan od razu tego nie powiedziałeś? Nie przypuszczałem nigdy, że rozporządzasz tak znacznemi kapitałami.

RUSZCZEWSKI.

To... to stało się tak.. niespodziewanie,... tak....

WARECKI (*przerywając*).

Kochanemu Michasiowi nie zjawił się wprawdzie amerykański wujaszek, ale za to Nabab litewski w postaci bezdzietnego brata. Tak, panie Modliński, ten człowiek w czepcu się rodził. Umiera mu brat bogaty gdzieś w zapadłych puszczach i na stare lata staje się panem Karłowic. (*Ruszczewski porusza się niespokojnie*).

MODLIŃSKI (*ściskając dłoń Ruszczewskiego*).

Winszuję serdecznie, winszuję i sądzę, że dziedzic Karłowic dochowa mi sąsiedzkiej przyjaźni.

niż u nas, tak że punkt wrzenia (u nas przy 100° C.) tam równa się 50° C., powietrze zaś jest o wiele więcej przesycone wodą, niż nasze. Z przypuszczeniami temi zgadza się dalsze spostrzeżenie, iż na Marsie tworzą się tylko nieznaczne chmury: wielkie chmury są bowiem rezultatem mięszania się wielkich mas atmosfery przepełnionych wilgocią, mięszanie się to jest jednak tem rzadsze, im atmosfera jest niższa.

Z drugiej strony przy wielkiem przesyceniu atmosfery Marsa wilgocią, można przypuszczać, że opady śniegu i lodu w bardzo na Marsie rozległych okolicach podbiegunowych są nieproporcyonalnie wielkie i że tworzą się tam — zwłaszcza na biegunie południowym, — ogromne góry lodu, które w czasie lata topnieją, powodując przez to silne prądy fal i silny napływ wody w kierunku południka w morzach Marsa, mających tylko niewiele stóp głębokości. W obec tych stosunków jasną jest rzeczą, iż w okresie tajania lodów wszystkie części stałych lądów, które w zimnej porze roku zaledwie wydobywają się z pod powierzchni wody, wówczas są całkiem zalane, oraz, że przypuszczalni mieszkańcy Marsa już od milionów lat poczęli przez wznoszenie wałów i grobli nietylko zapobiegać utracie gruntów pod wodą, lecz starają się także odbierać na nowo płytkiemu morzu dno jego, a w tym celu otaczają okolice, leżące na równi lub poniżej powierzchni wody, wałami i groblami nieznacznej zresztą wysokości, podobnie, jak się to np. dzieje na ziemi w Holandyi. Jeżeli to przyjmiemy, znikną wnet wątpliwości co do sposobu tłomaczenia szybkiego powstawania i zanikania olbrzymich kanałów na Marsie, których budowanie według naszych pojęć, wydawałoby się niemal niemożliwem. Aby wybudować tam nowy kanał, potrzeba tylko narzucenia po obu stronach kanału grobli, mających 2 lub 3 stopy wysokości, oraz usunięcia grobli lub nasypów od strony morza, tak aby woda mogła w nie wejść. Budowanie tak wielkich grobli jest o tyle łatwiejsze od budowania wysokich, że tej samej ilości pracy potrzeba do wzniesienia grobli nizkiej, szerokiej na 50 kilometrów, ile potrzeba do budowy grobli wysokiej, mającej szerokości tylko 50 metrów. Groble tych kanałów mogą zresztą przez długi czas być przygotowywane, a wobec nieznacznej ich wysokości nie będzie ich można dojrzeć przez teleskop; staje się to natomiast nagle możliwem, gdy po usunięciu wałów od strony morza, napełnią się kanały te wodą — co dzieje się głównie w czasie trwania prądów fal, idących od biegunów. Nizkie groble wystarczają zaś tam zupełnie do zabezpieczenia gruntów przed zalewem wody, wobec nizkiej bowiem atmosfery na Marsie nie ma prawdopodobnie wiatrów, wytwarzających silne falowanie wody, a wogóle na płytkich morzach wielkie fale nie mogą się tworzyć. Można także przyjąć, że oba małe księżyce Marsa pomimo niewielkiego oddalenia od tego planety, nie wywołują również znaczniejszych zmian w stanie wody, odnośne bowiem działanie tych księżyców neutralizuje tarcie fal o dno, nieuniknione przy małej głębokości mórz na Marsie.

Nie potrzeba jednak mniemać, że olbrzymie kanały na Marsie przypuszczalnym mieszkańcom tegoż planety służą wyłącznie lub przeważnie do celów transportu; prawdopodobniejszą jest przeciwnie rzeczą, że obok tego zadania spełniają one przedewszystkiem misyę nawodniania, przyczem bajeczna dla naszych pojęćich szerokość i długość prawdopodobnie w tem znajduje uzasadnienie, iż są tak bardzo płytkie, oraz że przy małej sile ciężkości na Marsie, powodującej powolny pęd fal, gdyby kanały nie były takie szerokie, woda nie napływałaby dosyć prędko i w dostatecznej ilości, aby spełniać cele nawodnienia, zwłaszcza, że kraj jest tak płaski, a silne parowanie wody odbywa się już przy tak nizkim punkcie jej wrzenia. Jeszcze większe prawdopodobieństwo ma za sobą hipoteza, że kanały te, przy wielkiej cywilizacyi mieszkańców Marsa, służą do celów uprawy roli, a do budowy ich zmusza fakt przeludnienia planety. Owe groble, czy wały budowane są może przy pomocy olbrzymich pługów parowych, a to, co my uważamy za kanały mniej lub więcej widoczne (stosownie do stanu wody w nich), mogą być tylko olbrzymie pola, użyte pod uprawę ryżu czy innej podobnej rośliny wodnej, w rozmaitych stadyach jej kultury.

Lovell, opierając się na swych spostrzeżeniach, przypomina przedewszystkiem, że na Marsie stosunkowo jest znacznie mniej wody w postaci zostających z sobą w łączności mórz, niż na ziemi. — Jest tam mianowicie jedno wielkie morze — w okolicy południowego bieguna — oraz liczne mniejsze łożyska, które tylko w części lub w pewnych okresach roku do pewnego stopnia napełniają się wodą. Gdy mianowicie po upłynięciu pory zimowej rozpocznie się na Marsie tajanie śniegu na granicach południowej strefy biegunowej, strefa ta otacza się natychmiast ciemnym pasem. Lowell w zeszłym roku przekonał się, że ów ciemny pas ma kilkaset angielskich mil szerokości i z tygodnia na tydzień posuwał się, w miarę jak ława śniegu topniała, coraz bliżej do bieguna. Na podstawie tych spostrzeżeń nie można wątpić, iż ów ciemny pas to woda powstała z tajania. Lovell zauważył także, że sine plamy na Marsie, które nazywają jeziorami, napełniały się ową wodą zrazu jak gdyby żyłami ciemnemi, a potem wkrótce w całej swej rozciągłości pociemniały. Widocznie zatem łożyska mórz napełniła woda. Tymczasem po pewnym okresie ciemne przestrzenie poczynały na nowo blednąć, a w końcu stały się równie czerwonawo-żółte, jak stały ląd na Marsie i nie można już było rozróżnić ich granic. Widocznie owa woda spełniła już swoje zadanie i zniknęła tak, że trudno powiedzieć, co się z nią stało. Łatwo sobie jednak owo zniknięcie wytłomaczyć, gdy się wraz z Lovellem przyjmie, iż owe sine przestrzenie napełniły się wodą tylko bardzo nieznacznej głębokości, a wskutek tego powstały tam wnet bagniste grunta, na których szybko rozwinęła się silna wegetacya. Wegetacya ta powoduje zniknięcie ciemnej barwy tych przestrzeni i zaciera ich granice od strony stałych lądów. W końcu cała południowa część Marsa stała się prawie równomiernie żółtawo-czerwona, a tymczasem zarysowały się kanały, najprzód od strony południowej, od której łączą się z morzami i jeziorami, — jako ciemne i szerokie pasy; to ciemnienie ich posuwało się zaś coraz dalej w kierunku północnym. Objaw ten można najlepiej przez to wyjaśnić, że masy wód przychodzące od południa, zwolna coraz dalej w kierunku północnym wchodziły we wnętrze wielkich, z sobą połączonych lądów stałych. Spostrzeżenie to potwierdziły dawniejsze już przypuszczenia, że owe kanały służą istotnie do tego, aby lądom stałym dostarczać wody, powstałej z tajania śniegu. Kanały te zbiegają się częstokroć w jedną okrągłą, ciemną plamę: plama ta jest widocznie niczem innem, jak wspólnem zbiorowiskiem wody z tych kanałów.

Zbadana przez Lovella, a poparta i uzasadniona powyższym obrazem krążenia zwolna płynących mas wody na Marsie teorya kanałów, potwierdza przypuszczenie, że kanały te są sztucznym wytworem myślących stworzeń na owym planecie, wytworem, przeznaczonym do tego, aby utrzymać masy wody topniejącego śniegu w granicach, które nie są już groźnemi, oraz aby zwrócić tam, gdzie mogą wyjść na pożytek mieszkańcom Marsa. Wielkie przestrzenie stałych lądów na Marsie są według Lovella z natury swej nieurodzajne, bo pozbawione przyrodzonej wilgoci; stają się one prawdopodobnie tam tylko urodzajnemi, gdzie owe kanały zaopatrują je we wodę. Mogłaby jeszcze powstać kwestya, czy Mars dzisiaj także zamieszkany jest przez żyjące stworzenia, czy też owe kanały pochodzą z dawnych jeszcze lat, a ludność Marsa tymczasem już wymarła. Otóż ponieważ kanały te w walce z żywiołem wody prędko musiałyby uledz, gdyby nie były konserwowane i doglądane, a przeciwnie dzisiaj przedstawiają

RUSZCZEWSKI.

Tak... dziedzic Karłowic... tak... będziemy pić na miedzy po szlachecku, aż nam serce pęknie! Zostańcie z Bogiem. (*robi ręką znak zniecierpliwienia i wychodzi.*)

Scena VI.

Warecki, Karol, Modliński,

MODLIŃSKI (*z urazą*).

Co to znaczy? Postępowanie tak dziwne.

WARECKI (*śmiejąc się*).

To stara generacya o miękkiem sercu i potężnym zasobie uczuć rodzinnych. Biedny Michaś przywiązał się do brata serdecznie. Każde wspomnienie o nieboszczyku łzy mu ciśnie do oczu.

MODLIŃSKI.

Ej! to minie. Pieniądz jest najlepszym plastrem na bóle moralne.

(*wchodzi Melanja i Marta w słomianych kapeluszach na głowie.*)

Scena VII.

Ciż, Melanja i Marta.

MELANJA.

Witam panów... Wuju! Dostrzegłam z daleka kabryolet pocztowy. Zdaje mi się, że pan Wolski tu jedzie.

WARECKI (*z pewnym ambarasem*).

A! tak. Miał dzisiaj przybyć.

MODLIŃSKI.

Pani pozwoli, że złożę jej raz jeszcze życzenia serdeczne. Jestem przeciwnikiem politycznym Wolskiego, ale cenię jego talent, jego zapał dla sprawy narodowej i pracę. Jeżeli jest jaka fałszywa nuta w tej gorącej duszy, to miłość wyrównać powinna dysonanse. Małżeństwo Pani może stać się ważnym czynnikiem w życiu naszem publicznem, a zatem niech wam Bóg błogosławi. (*podaje rękę Marcie, następnie zwraca się do Wareckich*). A teraz żegnam panów. Przyjemność trzeba poświęcić dla obowiązku (*podaje rękę Wareckim*).

WARECKI.

Przykro mi rzeczywiście, że te nieszczęsne Karłowice...

MODLIŃSKI (*przerywając.*)

Ależ, hrabio, szaleństwem byłoby z mej strony, mieć jakiekolwiek pretensye. Ten piękny kawał ziemi polskiej nie pójdzie na marne. To dla mnie wystarcza zupełnie. (*podaje rękę Karolowi*). Do widzenia panie Karolu! (*do pań kłaniając się:*) Panie! (*wychodzi*).

Scena VIII.

Warecki, Karol, Melanja, Marta, w końcu lokaj.

WARECKI.

Jedna sprawa ubita. Ale ten Wolski ...ten Wolski! (*przechadza się gwałtownie po pokoju*).

MARTA (*spoglądając przez okno*).

Zajechał.

WARECKI.

Ha! po takiej kompromitacyi trzeba brnąć dalej w tem błocie.

MARTA.

Ojcze!

WARECKI.

Warecka w objęciach Wolskiego!.. przed światem, przed tłumem ludzi! Oszaleć można.

MELANJA.

Wuj ocalił sytuacyę ogłoszeniem zareczyn.

WARECKI.

Przylepiłem plaster legalności, ale czy sądzisz, że świat ma bielmo na oczach? (*po chwili*). Stało się! Trzeba resztki honoru ratować. (*do Marty*) Pamiętasz o warunkach?

MARTA.

Dałam słowo bez wszelkich zastrzeżeń i nie mam prawa dyktować warunków, ani siły, ani odwagi.

WARECKI.

Co?

(*wchodzi lokaj*).

LOKAJ.

Pan Wolski.

WARECKI.

Proś (*lokaj wychodzi*). Ostrzegam cię, Marto, nie przeciągaj struny.

(*Wchodzi Wolski*).

Scena IX.

Ciż i Wolski.

(*Wolski całuje Martę w rękę, ściska serdecznie dłoń Melanii i wita się ceremonialnie z Wareckim i Karolem.*)

się jako zupełnie odpowiadające celowi, trzeba przeto przyjść do przypuszczenia, iż Mars zawsze jeszcze zamieszkany jest przez myślące stworzenia. Jak wyglądają owi mieszkańcy najbliższego naszej ziemi sąsiada, to pozostanie już prawdopodobnie na zawsze dla nas tajemnicą; widocznie jednak muszą oni myśleć i porozumiewać się z sobą, czuć, widzieć i słyszeć, znać się na geometryi, podobnie jak my, a pod względem biegłości w pracach technicznych może nas nawet przewyższyli. M.

LITERATURA I SZTUKA.

Stosunki literackie Rusi halickiej.*)

Już w pierwszej połowie XIV wieku Ruś halicka straciła łączność z innemi południowo ruskiemi dzielnicami. Tylko w ciągu bardzo niedługotrwałego okresu — od unji lubelskiej (1569) do powstania Bohdana Chmielnickiego, cały kraj maloruski poczyna żyć wspólnem życiem. Do tego właśnie czasu odnosi się początek południowo ruskiej literatury narodowej w języku dość zbliżonym jeśli nie do ludowego ukraińskiego, to do tego, którym się posługiwało południowo-ruskie mieszczaństwo i drobna szlachta. Zjawia się cały szereg pisarzy (Herasym Smotrycki, Bazyli Surażski, Iwan Wyszeński, Cyryl Stawrowiecki, Melecjusz Smotrycki, Gawatowicz, Galatowski i inni), którzy pomimo swego pochodzenia z różnych prowincyi (z Wołynia, z Galicyi, z Ukrainy) są świadomi wspólności swych interesów narodowych, chociaż pracują w różnych miejscowościach (we Lwowie, Kijowie, Ostrogu, Łucku, Czernihowie, Wilnie).

Wojny kozackie zadały cios śmiertelny tej łączności, a unja religijna, zaprowadzona w Galicyi, zniszczyła ją ostatecznie. Z przyłączeniem do Austryi, Galicya znalazła się w warunkach całkiem odmiennych od tych, w których rozwijały się pozostałe dzielnice Rusi. Nowe warunki polityczne i kulturalne sprawiły, że Rusini haliccy wytworzyli samodzielny typ kulturalny, wcale niepodobny do typu innych małorusinów. Wpływ polskiej kultury był tak potężny, że odbił sie nietylko na szlachcie, wyższem duchowieństwie i zamożnem mieszczaństwie — te warstwy spolszczyły się całkowicie — ale i na niższych klasach: drobnej szlachcie i chłopach. W 4-tym dziesiątku b. stulecia w Galicyi nie było inteligentnych Rusinów, używających innej mowy oprócz polskiej, a po części niemieckiej. Nieliczne książki, które się ukazywały w Rusi halickiej, były pisane w języku cerkiewnym z obfitą domieszką form polskich i małoruskich.

Początki *narodowej* literatury Rusi halickiej odnoszą się do r. 1837, kiedy ukazuje się słynna „Rusałka Dniestrowa“, wydana przez Szaszkiewicza, Hołowackiego i Wazilewicza. W 7-ym lat dziesiątku młoda literatura, pokrzepiona wpływem Ukrainy, utrwala się i odtąd rozwój jej kroczy całkiem naturalną drogą.

Język małoruski, którym posługuje się cała ludność Rusi halickiej — i lud i inteligencya, musiał w ciągu jakichś 50—60 lat przebyć ten proces, który język bolski przeżywał od Reja i Kochanowskiego do Mickiewicza. Z gwary włościan, drobnych mieszczan i wiejskich popów, nieposiadającej prawie żadnej literatury, w przeciągu krótkiego stosunkowo czasu wyrobił się język, który jest wykładowym nietylko w szkołach ludowych, ale w gimnazjach i nawet w uniwersytecie, w którym wygłaszane są mowy w sejmie i wydawane pisma i książki najróżnorodniejszej treści. Procesu tego nie można uważać za całkiem ukończony; odbywa się on jeszcze i dotąd. Daje się to zauważyć zwłaszcza w zakresie nauki, gdzie każdy uczony małorusin musi własną pracą uzupełniać niewyrobione słownictwo. Gdy porównamy jakiekolwiek z pism małoruskich, wydawane przed 10-12 laty z takim organem jak n. p. „Zytie i Słowo“, to musi nas zadziwić ogromna różnica języka. Mowa pierwszych jest bardzo daleką od ludowej, mnóstwo w niej wyrazów i polskich i cerkiewno-słowiańskich i wielkoruskich, mnóstwo najniefortunniej ukutych słów; co chwila spotykamy zwroty i łacińskie, i niemieckie, i polskie, tylko nie ludowe małoruskie. Nic też w tem dziwnego. Język, ktorym każdy wykształcony Rusin władał najlepiej, był polski; język niemiecki był mu również dość dobrze znany. Cerkiewno-słowiański znał on jako unita. Książek naukowych małoruskich prawie nie było. Trzeba było wyrabiać nowy język. Ma się rozumieć, że praca ta stawała się coraz łatwiejszą w miarę tego jak wzrastał zasób terminów naukowych. Obecnie Rusin już z łatwością może napisać i artykuł publicystyczny politycznej lub literackiej treści, i podręcznik szkolny i monografia naukową. Śledząc rozwój języka małoruskiego w Galicyi, nie możemy nie spostrzedz, że się ten ostatni coraz bardziej zbliża pod względem czystości do ludowego; z drugiej strony pomału wyrabia się wspólny język literacki dla wszystkich Rusinów, w którym obecnie pisze i galicyanin, i bukowińczyk i kijowianin, i kubaniec. Przyczyna tego jest następująca. Jak wiadomo, literatura małoruska w Rosyi jest zupełnie wzbroniona. Ani pism małoruskich, ani książek naukowych, lub chociażby tylko populurno-naukowych, ani dzieł przełożonych z innych języków w Rosyi wydawać nie wolno. Otóż wskutek tego prawie wszyscy spółcześni pisarze małoruscy z Rosyi przenieśli swą działalność literacką na grunt galicyjski. Tam wydają oni swe utwory, tam zamieszczają swe artykuły w czasopismach, tam pracują na polu literatury dla ludu i t. d. Gdy przeglądamy niektóre z wydawnictw galicyjskich, jak „Zorja“. „Dzwinok“, „Prawda“ lub „Zapyski“ Towarzystwa im. Szewczenki, od razu wpada nam w oko ogromna ilość zamieszczonych tam prac małorusinów rosyjskich. Trzeba przyznać, że Ukraińcy piszą daleko lepszym językiem niż galicyanie. Język ich jest znacznie bliższy ludowemu. Lektura utworów ukraińskich wpłynęła bardzo dodatnio na język pisarzy galicyjskich, pisarze zaś ukraińscy, nie mając u siebie pola do wyrobienia literatury naukowej, brali żywcem od galicyan terminy naukowe i zwroty publicystyczne. W ten sposób wyrobił się język ogólno-małoruski, którym posługują się obecnie Małorusini z obu stron kordonu.

Trzeba oddać sprawiedliwość Rusinom — zdołali oni pomimo swego bardzo niekorzystnego położenia osięgnąć dość dużo. Najwięcej zrobili Rusini na polu szkólnictwa i oświaty ludowej. Obecnie mają oni trzy gimnazya (we Lwowie, w Przemyślu i w Kołomyi) z językiem wykładowym małoruskim, seminarjum nauczycielskiem w Samborze, które przy utrakwistycznem urządzeniu ma charakter małoruski. Na uniwersytecie lwowskim istnieje kilka katedr małoruskich, między innemi katedra języka i literatury małoruskiej tudzież historyi Rusi. Wielkie zasługi położyło towarzystwo „Proświta“, założone 25 lat temu przez grupę młodzieży. Towarzystwo to wydało wielką ilość książeczek dla ludu z zakresu beletrystyki, historyi nauk przyrodniczych, prawa, med[illegible]ny i t. d. Główną masę

*) Patrz Nr. 23 i 24 „Przeglądu Poznańskiego“ z r. 1894 gdzie zostały scharakteryzowane stosunki partyjne Rusi. (Przyp. Red.)

WARECKI.

Zechciej pan zająć miejsce.

WOLSKI.

Dziękuję. Zanim posłuszny będę wezwaniu pańskiemu, chcę wyjaśnić położenie i odpowiedzieć raz jeszcze na wa unek, który za ostatniej mojej bytności w Turowie pan hrabia raczyłeś postawić.

WARECKI.

Przekonany jestem, że po niesłychanym skandalu, na jaki dom mój naraziłeś, nie zechcesz pan nowej gotować nam niespodzianki.

WOLSKI.

Cztery tygodnie mija od chwili, w której wraz z panną Martą stanąłem przeciw panu i przeciw konwenansowi. Prawa serca stawiam wyżej od kodeksu ustaw salonowych i przestępując po owym pamiętnym wieczorze próg pańskiego domu, starałem się ujawnić całą potęgę pobudek, które mnie skłoniły do tego, co pan raczyłeś nazwać skandalem.

WARECKI.

Zdaje się, panie Wolski, że w tej sprawie nie porozumiemy się nigdy. Zamknijmy więc nad nią akta i zwróćmy się do warunku, który postawiłem na progu pańskiego małżeństwa. Czy pan zdecydowałeś się rzucić redakcyę Trybuny i zaniechać zupełnie karyery publicystycznej, lub też stanąć po stronie naszej, po stronie tych, którzy cię do rodziny swojej przyjmują.

WOLSKI.

Nazwijmy rzecz po imieniu. Żądasz pan odstępstwa.

WARECKI.

Żądam nawrócenia, żądam od zięcia mojego, aby walczył za uczciwą sprawę.

WOLSKI.

Uczciwem jest każde przekonanie, jeżeli nie służy egoistycznej rachubie. A jakiem mianem nazwałbyś, panie hrabio, syna swojego, gdyby za pieszczotę ukochanej kobiety sprzedał sztandar i zasady własne.

KAROL (*wzrusza ramionami*).

Literacki sofizmat.

WARECKI.

Nie myślę wyjeżdżać na harce dyalektyczne. Żądam stanowczej odpowiedzi: Tak lub nie?

WOLSKI.

A więc... Nie!

KAROL.

Co?

WARECKI.

Panie Wolski, czy to ostatnie słowo?

WOLSKI.

Ostatnie. Tu na tem miejscu przed tygodniem propozycya twoja, panie hrabio, okryła mnie rumieńcem wstydu, a pan z dziwnym uśmiechem szepnąłeś: Namyślisz się! To słowo, to przypuszczenie dniem i nocą nie dawało mi spokoju. Więc raz jeszcze, raz jeszcze powtarzam: Nigdy! Nigdy! panie hrabio

WARECKI.

I pan sądzisz, że ja rękę mej córki oddam redaktorowi demagogicznego pisma, że z anarchią i socyalizmem bratać się będę. (*Melanja obejmuje Martę w pół i szepce jej coś do ucha. Marta przez cały ciąg rozmowy okazuje wielki niepokój i drze batystową chusteczkę.*)

WOLSKI.

O! panie hrabio. Dawniej mówiliście „mason“, — dziś mówicie „socyalista“. Każdy, kto przeciw hegemonii waszej ośmiela się protestować, powiewa czerwoną chustą anarchii. Umyślnie mieszacie pojęcia, ażeby nas zdeptać. A jednak my nie padniemy, nie padniemy, chociażby nawet za taką cenę, jaką pan ofiarujesz.

KAROL.

Sądzę zatem, że nie mamy sobie nic więcej do powiedzenia.

WOLSKI.

Nic? (*do Marty*) I pani nic mi nie masz do powiedzenia?

WARECKI.

Wola ojca jest wolą córki.

(*Wolski spogląda niespokojnie na Martę i Melanję.*)

MELANJA (*z wysiłkiem*).

A ludzie?

WARECKI.

Nie pytałem się o zdanie twoje. (*do Wolskiego*) Skompromitowałeś pan córkę moją, aby pod presyą opinii publicznej zaprowadzić ją do ołtarza. Ale omyliłeś się, panie Wolski. Gdyby nawet w habicie zakonnicy dni swoich dokonać miała, — Warecka potknąć się może, ale nie upadnie nigdy.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

członków towarzystwa stanowią włościanie, dla których „Proświt“ wydaje oprócz książek jeszcze i pismo „Czytelnia“. W ogóle co się tyczy oświaty ludowej, to na Rusi halickiej robi się dość dużo; tu nawet moskalofile przynoszą pewną korzyść, gdyż założyli oni na wzór „Proświty“ „Towarzystwo im. Kaczkowskiego“, które również wydaje książeczki popularne, chociaż w języku nie zupełnie ludowym. Każde z trzech istniejących w Galicyi stronnictw stara się zdobyć lud dla siebie. Narodowcy oprócz książeczek „Proświty“ i „Czytelni“ wydają jeszcze dwutygodnik „Bat'kiwszczyna“; moskalofile „Russkoje Słowo“; radykaliści „Chliborob“, „Kromadśkyj Hołos“ i cały szereg broszur.

Posiadają Rusini w zarodku i Akademję umiejętności — „Towarzystwo imienia Tarasa Szewczenki“, założone dwadzieści lat temu za pieniądze, ofiarowane przez kilku patryotów ukraińskich. Towarzystwo to zresztą rozwijało dotąd bardzo słabą działalność. Do bardzo niedawnego jeszcze czasu ograniczało się ono do wydawania literackiego pisma ilustrowanego „Zorja“ tudzież utworów beletrystycznych pisarzy galicyjskich i ukraińskich. Tylko przed dwoma laty zmieniło swój charakter. Zostało ono przetworzone na wzór innych towarzystw naukowych z podziałem na sekcye: filologiczną, historyczno-filozoficzną i matematyczno-przyrodniczo-lekarską. Tak zreorganizowane towarzystwo wydało pięć tomów „Zapisków“, w których zamieszczono cały szereg prac naukowych różnej treści, napisanych bądź przez miejscowych uczonych, bądź przez ukraińskich.

Teatr ruski w Galicyi przedstawia się dość nędznie i rozwija się nadzwyczaj powoli w porównaniu do teatru małoruskiego na Ukrainie. Szybko natomiast rozwija się prasa. Obecnie w Galicyi i na Bukowinie (która żyje wspólnem z Galicyą życiem duchowem) istnieją następujące wydawnictwa perjodyczne. Na pierwszem miejscu trzeba postawić dwumiesięcznik „Żytie i Słowo“, wyborne pismo literacko-naukowe, wydawane przez dra Iwana Frankę. W piśmie tem pojawiło się dotąd dużo bardzo cennych artykułów, właszcza z dziedziny historji literatury i folklorystyki. Dzięki wykształceniu i talentowi swego wydawcy, pismo to jest prowadzone tak, że może być ozdobą każdej literatury.

Wszystkie inne pisma galicyjsko-ruskie stoją daleko niżej pod względem swej wartości naukowej i literackiej. Po „Życiu i Słowie“ pierwsze miejsce należy się „Zorji“, pismu obrazkowemu, zapełnianemu głównie przez prace Ukraińców: Lewickiego, Czajczenki, Szkaliczenki, Koniskiego, Lesi-Ukrainki, Karpenki, Kropiwnickiego, Komarowa i innych. W „Zorji“ drukowała się również „Historja literatury małoruskiej“ ś. p. prof. Emila Ogonowskiego. Bardzo starannie jest prowadzony dział bjbljograficzny tego pisma, to też, mając „Zorję“, czytelnik może doskonale informować się we wszystkiem, co literatury małoruskiej dotyczy. „Zorja jest pismem całkowicie poświęconem beletrystyce i w bardzo małej mierze nauce. Całkiem inny charakter ma miesięcznik „Prawda“, który oprócz literatury i nauki wielką uwagę poświęca i polityce, przedstawiając osobisty organ znanego posła Aleksandra Barwińskiego. W piśmie tem można spotkać obok postępowego artykułu jakiegoś Ukraińca, krańcowo wsteczną pracę redaktora. Literacko-polityczny charakter ma i dwutygodnik „Narod“ — organ radykalistów, w którym ukazują się bardzo ciekawe artykuły, poświęcone społeczno-ekonomicznym i literackim stosunkom Galicji i Ukrainy. Codziennych pism w języku małoruskim wychodzi dwa: — „Diło“ — organ narodowców i „Narodne Czasopyś“, pismo urzędowe. Polityczny organ Rusinów bukowińskich „Bukowyna“ wychodzi cztery razy na tydzień. Prawnicy wydają kwartalnik „Czasopyś prawnyeza“; pedagogowie „Uczytel“. Pism dla dzieci posiadają Rusini dwa; „Dzwinok“ (Lwów) i „Łastiwka“ (Czerniowce); humorystykę reprezentuje „Strila“. Do rzędu wydawnictw peryodycznych należy zaliczyć „Bibljotekę historyczną“ A. Barwińskiego, mieszczącą przekłady monografii, dotyczących dziejów Rusi, Ukrainy i „Bibliotekę literacko-naukową“, wydawaną przez dra Iwana Frankę, w której ukazały się utwory literacko-publicystyczne M Dragowanowa i monografja wydawcy „Iwan Wyszeński“. Przy „Dile“ wychodzi bibljoteka najznakomitszych powieści.

Książek wychodzi w Galicyi bardzo mało. A i te są przeważnie odbitkami z czasopism, albo podręcznikami szkolnemi, albo też kalendarzami i almanachami. Na całej produkcyi literackiej Rusi halickiej leży piętno jakiegoś zacofania Nic też w tem dziwnego. Do bardzo niedawnych czasów przeważająca większość inteligencji ruskiej w Galicyi składała się z popów unickich, a klerykalizmem unickim przesiąknęło całe społeczeństwo ruskie. Główny zastęp prenumeratorów pism stanowią popi, jako ludzie zamożniejsi, też redaktor, chociażby był człowiekiem bardzo wolnomyślnym, musi liczyć się z wymaganiami swych czytelników i obawia się zamieścić utwór nieco liberalniejszy. Na tę cenzurę redakcyjną ustawicznie skarżą się pisarze ukraińscy. Ma się rozumieć, że zarzuty te nie dotyczą wydawnictw takich jak „Żytie i Słowo“ lub „Narod“, — pisma te stoją na poziomie wymagań europejskich.

Pomiędzy współczesnymi pisarzami ruskimi w Galicyi, oprócz Franki i Kobrzyńskiej, którymi się zajmiemy szczegółowo, znajduje się kilku poetów i młodych uczonych, nie pozbawionych zdolności. Pomiędzy pierwszymi wyróżniają się: Józef Makowej, autor poematu „Nowicjusz“; Bazyli Szczurat, który bardzo ładnie przełożył „Pieśń o Rolandzie“; A. Chodowicki, utalentowany liryk, i Julja Sznajder, która zresztą prawie zupełnie umilkła w ostatnich czasach. Pomiędzy uczonymi zasługują na uwagę dr. Aleksander Kołessa, który obrał za specjalność studja porównawcze z dziedziny literatur ruskiej, polskiej i rosyjskiej (Mickiewicz a Szewczenko“, „Pieśni ludowe ukraińskie w poezjach Bohdana Zaleskiego“, „Wpływ Żukowskiego na Zaleskiego i t. d. i Wacław Budzynowski, ekonomista, który dał się już poznać publiczności z wybornych prac, jak „Stosunki agrarne Galicyi“, „Chłopska posiadłość“ i t. d.

Leon Wasilewski

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Eleonora Duse w Kolonii.

Kolonia, 24 kwietnia.

Eleonora Duse, jest osobą średniego wzrostu, smukłej kibici i smagłej twarzy, okolonej w życiu codziennym falą kruczych włosów. Twarz jej rozjaśniona południowym blaskiem płomiennych oczu, mimo lat dopiero 35, wygląda zmęczono. Bywają dnie, że artystka używa laski przy chodzeniu. Życie za młodu i po niej przemknęło szorstką swą ręką. Młodość diwy, spędzona nie na różach, dużo zawiera ciekawych epizodów i zajmujących szczegółów z koczowniczego życia wędrownych artystów. Duse urodzona w Vicency jest nietylko prawdziwem dzieckiem włoskiego nieba, ale i sceny i talent dramatyczny odziedziczyła po ojcu. który również był aktorem. O ojcu artystki, głośnym swego czasu komiku, powiadają, że przybywszy swego czasu z maleńką trupą do Padwy, rozesłał swoją rzeszę po mieście z poleceniem rozlepienia afiszów, które ogłosiły, jako: „Luigi Duse zawiadamia kochanych swych Paduanów, że z wyborową trupą przybył do miasta Liwiusza i Petrarki i nazajutrz rozpocznie przedstawienia“. Przedstawienie odbyło się, ale teatr świecił pustkami, bo studenci, ówczesne gros teatralnych widzów, przed pierwszym miesiąca nie mieli monety, a „kochani Paduanie“ zapowiedzianą tragedyą nie bardzo się zainteresowali. Ponieważ zaś Paduanie *brillaient par leur absence*, a dyrektor wędrownej trupy rzadko bywa kapitalistą, więc naturalnem następstwem niefortunnego przedstawie-

---

Hr. L. TOŁSTOJ.

PAN I SŁUGA.

NOWELA.

Tłom. z orginału **M W.**

— No, teraz to już dobrze — mówił otrzepując śnieg z ubrania. — A ten szczeka omal nie ochrypnie! Dość już, dość, głupia psino! sama siebie nadaremnie tylko utrudzasz: swój, nie złodziej!

— Toż to przecie — jak powiadają — jeden z trzech doradzców domowych, zauważył Pietrek, przerzucając silną ręką sanki, które na zewnątrz zostały.

Jakże to, doradzców?

— W Paulsonie*) tak stoi wydrukowane: gdy złodziej skrada się do domu — pies szczeka, abyś nie zasypiał, miał się na baczności. Kogut pieje ma to znaczyć: do pracy nie zrywaj. Kot łapką się myje, to znaczy: czekaj drogiego gościa, szykuj się na jego przyjęcie — prawił uśmiechając się Pietrek.

— Słusznie mówisz — pochwalił Nikita.

*) Paulson — autor czytanki dla szkół ludowych. (Przyp. tłum.)

— Zmarzłeś, jak sądzę, stryjku — dorzucił Pietrek.

Tak, dość — przyznał się Nikita. Poczem skierowali się obaj przez podwórze i sienie do izby.

IV.

Chata, do której zajechał Brechunow, należała do najzamożniejszych we wsi. Rodzina miała pięć nadziałów ziemi, a prócz tego wydzierżawiała obce grunta. W stajni i oborze stało sześć koni, trzy krowy, dwie jałówki, ze dwadzieścia sztuk owiec. Rodzina składała się ze dwudziestu dwóch osób: czterech synów żonatych, sześciorga wnuków, z których jeden, znany nam Pietrek, był już żonaty, dwóch prawnuków, trojga sierót i czterech synowych. Była to jedna z rzadkich rodzin, które jeszcze nie przeprowadzały u siebie podziału gruntów, ale i tu nurtowała już oddawna głucha rozterka wewnętrzna, której początek dały, jak zwykle, kobiety i która niechybnie doprowadzić musiała w blizkiej przyszłości do podziału. Dwaj synowie przebywali w stolicy dla zarobków, jeden był w wojsku. W domu znajdowali się w tej chwili dziaduś, jego żona, syn gospodarz, syn który przyjechał ze stolicy na święta, oraz wszystkie kobiety i dzieci; prócz domowników był jeszcze gość: wójt-sąsiad.

Nad stołem zwieszała się lampa z daszkiem, której jaskrawe światło padało na stół z przyborami do herbaty, flaszką wódki, zakąskami i odbijało się o róg izby, w którym widniały obrazy święte, mające z obu stron świeckie ryciny.

Za stołem zasiadł na pierwszem miejscu Brechunów w jednym już tylko czarnym kożuszku i chuchając w zlodowaciałe wąsy, rozglądał się wynikłemi, jastrzębiemi oczyma po izbie i obecnych. Obok niego umieścił się stary ojciec, brodaty i łysy, w białej z domowego płótna koszuli, przy nim w cienkiej perkalowej koszuli syn, który przyjechał ze stolicy, zuch o potężnym karku i ramionach, dalej najstarszy syn-gospodarz, o szerszych jeszcze barkach, a nakoniec chudy i rudawy wójt.

Mężczyźni pili już wódkę i zakąsywali, oczekując teraz z kolei na samowar, który syczał na podłodze przy piecu. Na pryczach i piecu poumieszczały się dzieci, na tapczanie siedziała, pochylając się nad kolebką, starsza jakaś kobieta, a staruszka gospodyni o twarzy pokrytej siatką drobnych zmarszczek, przecinających nawet jej wargi, krzątała się koło Brechunowa.

W chwili właśnie, kiedy Nikita wchodził do izby, nalewał wódki w kieliszek z grubego szkła i podawał gościom.

— Czem chata bogata, tem rada — zapraszał stary — bez wymówek, prosimy, za wasze zdrowie!

Widok i zapach wódki — teraz zwłaszcza, kiedy czuł się tak ziębniętym i znużonym, sil-

nia był zastój interesów, odbijający się najwięcej na niewypłaconej gaży aktorom. Stary Duse widząc się w opałach i przewidując z powodu kieszonkowych suchot upadek swej sceny, wziął się na sposób, i ażeby zwabić liczniejszą publiczność do prymitywnej świątyni Melpomeny, w której on pełnił obowiązki arcykapłana, ogłosił następnego dnia urbi et orbi, że „dnia dzisiejszego wystawioną zostanie nowa farsa, ułożona i odegrana jedynie i tylko przez dyrektora L. Duse“. Niezwykłe to zdarzenie zainteresowało publiczność, żądną widzieć w jednej osobie i autora i aktora na scenie; po mieście rozpowiadano sobie niezwykłą nowość, reklamowano mimowoli teatr, a wieczorem soldami i lirami zapchano panu dyrektorowi kasę. Teatr był zapełniony po brzegi, bo i studenci zaniósłszy słowniki na studya hebrajszczyzny, przybyli tłumnie i zajęli miejsca tuż przed estradą. Lecz jakież było zdziwienie publiczności, gdy za podniesieniem kurtyny, ukazał się na scenie stary Duse ubrany żałobnie i z miną grabarza płaczliwym głosem tak się odezwał do zgromadzonych: „Czemu nie przychodzicie do teatru i czy myślicie, że komedye gram dla przyjemności! O nie, kochani Paduanie, a mianowicie kochani studenci. Bez waszych lirów Duse jest biednym djabłem, latarnią bez światła, wozem bez kół. Czyż wam się nie podobają wystawione przezemnie sztuki? hę? czyż nie mam zdatnych aktorów, a ja, czyż nie jestem Duse?“ Po tej przemowie podniósł się z pierwszych ław jakiś starszy już student i prawdziwym basso profundo tak odpowiedział: „Jutro, kochany panie Duse, jest niemożliwem, bo pojutrze mamy egzamina i jutrzejszy dzień trzeba spędzić na przygotowaniach, ale pojutrze z patentem, czy bez otrzymanego patentu wszyscy się tu stawimy“. „A gęś niech tego kopnie, kto się nie stawi“, dodał Duse i wśród burzy oklasków i homerycznego śmiechu zapadła kurtyna.

Eleonora Duse nie od razu zajaśniała sławą i potrzeba było dopiero himery losu, żeby publiczność zwróciła na nią uwagę, a gazety kolportowały po świecie wieść o niezwykłym jej talencie. Trąba reklamy, w którą następnie zręcznie zadął impressario, uczyniła także swoje i dzisiaj owa „Leosia“ grająca dawniej w perkalowych sukienkach role naiwnych — prócz sławy, willi w Mediolanie, pałacu ongi Desdemony w Wenecyi, prócz 160 (sic!) cennych kostyumów posiada i gotówkę, której suma ozdobiona jest podobno kilku zerami przed i poza przecinkiem matematycznym. Szczęśliwy zwrot w życiu swoim zawdzięcza artystka dramatowi „Cavaleria rusticana“, o czem później, dalsze sukcesa odniosła podczas turnée odbytego po Hiszpanii i południowej Ameryce, a powróciwszy ztamtąd i otoczona już aureolą genialnej artystki, w Petersburgu święciła tryumfy. Tutaj poznał ją krytyk wiedeński Herman Bahr i po długich naleganiach, prośbach i pertraktacyach, zdołał ją nareszcie nakłonić do występu przed niemiecką publicznością. Było to przed pięciu laty, a Duse ukazała się wówczas we Wiedniu w roli Damy kameliowej.

W utworach klasycznych, jak to czyni nasza Modrzejewska, Duse nie występuje wcale, będąc tego mniemania, że utwory klasyczne tegoczesną publiczność mało zajmują. Jej zdaniem, nawet Shakespeare nie działa już jak dawniej na nerwy publiczności, której smak estetyczny z czasem się wykształcił. I dla tego c z y t a wszystkie klasyczne utwory, mianowicie dramatyczne, nie występuje w nich jednak, będąc — jak sama się wyraziła — nietylko artystką, ale poza sceną i kupcową.

W Kolonii zabawiła Duse dwa dni tylko i na pierwszy występ wybrała wypieszczoną przez siebie rolę Małgorzaty Gautier w Dumasowskiej „Damie kameliowej“. Teatr, mimo podwyższonych cen, wypełniony był po brzegi, a przed gmachem teatralnym ciągnął się nieskończony szereg karet i powozów. Przedstawienia odbywały się po południu. Treść Dumasowskiego utworu nadto znana, ażebym dla zrozumienia sytuacyi, osnowę jego przytaczać potrzebował. Rolę Małgorzaty pojęła Duse odmiennie, niż zwykle na scenie się widzi, i właśnie to odmienne, to niezwykłe, niespodziewane pojęcie roli zadziwiło krytyków, przywykłych oglądać Damę kameliową jako paryzką kokotę, damę demimondu, błyszczącą wytwornym strojem i okazałym komfortem otoczenia. Duse ilością złotych ozdób nie podnosi wartości swej osoby i efekta kostyumowe stawia na ostatnim planie, za to gra sama; umiejętne pojęcie sytuacyi i charakteru przedstawianej osoby, wniknięcie w jej myśli, uczynki i ich następstwa, stanowią fundament jej powodzenia. Realizm, z jakim Duse odtwarza przedstawione postacie jest prawdziwie podziwienia godnym. W ruchach jej nie ma nic wymuszonego, w głosie nie dosłyszysz deklamatorskiej emfazy lub wyszrubowanego cieniowania i dla tego właśnie gra jej z fotograficzną dokładnością odzwierciadla życie i ludzi, uwydatnia najwyraźniej stan wewnętrzny duszy, widać, czuć, że artystka wżyła się zupełnie w przedstawioną rolę, że na scenie jest tylko osobą wymienioną na afiszu, razem z nią raduje się lub boleje, serca ich jednem biją tętnem, myśli ich jednym szybują szlakiem.

To znakomite pojęcie roli, zrównane niemal z samą rzeczywistością, stanowi główną zaletę gry włoskiej artystki. Jej miny, jej gesty, jej pozy, wyzyskanie artystycznych sytuacyi i momentów z kupiecką skrupulatnością, nadto mistrzowska umiejętność w obrotach rękami — notabene ślicznemi — również nie małe stanowią akcesorya jej powodzenia. Nikt też lepiej od niej nie uwydatnia słów poety, nikt lepiej nie przedstawia danej bohaterki. Życzyćby należało, żeby i artystki naszej narodowej sceny więcej na podobne „drobnostki“ zwracały uwagi. Wysoka a wyrobiona skala jej uczucia, długą praktyką podniesiona intuicya, za pomocą której z najmniejszej chociażby sumy rozumowań, umie wyciągnąć cały bukiet wniosków i przeczuć naturalne konsekwencye, nadają jej grze ten niepospolity realizm, walczący o lepsze z życiem na scenie.

Scenicznie dojrzała umie obrachować ton głosu, któryby najodpowiedniej odmalował stan jej duszy, któryby najsilniejszem echem odbił się w sercach słuchaczy, umie z bogatej skarbnicy mimiki i gestów wybrać najstosowniejszy do sytuacyi, podkreślić nim szczegóły, zwrócić nim uwagę publiczności. To też gry takiej nie zapomina się łatwo i oczyma mej duszy widzę tę Dusę w roli Małgorzaty, którą przedstawiała jako cierpiącą grzesznicę, nie posiadającą siły oprzeć się stosunkom, jakiemi ją skrępowało życie, zejść z drogi, na którą popchnęły ją okoliczności. Myśli jej odczuć było można, widząc tylko te z życiową prawdą wykonane charakterystyczne poruszenia jej ciała, to pieszczotliwe przechylanie głowy, lub to zmarszczkami przyspiepione czoło. Widz, mając przed sobą taką artystkę, mimowoli przejmuje się jej grą mistrzowską, głos wewnętrzny szepce mu do ucha, że rzeczywista postać utworu poety tylko tak wyglądać, czuć, tak mówić i poruszać się mogła, i cóż dziwnego, że zachwycony rzadkiem podchwyceniem prawdy, bije brawa zanim jeszcze kurtyna zapada?

Na drugie przedstawienie wybrała Duse „Cavalleria rusticana“ i Goldoniego „La Locandiera“, dzięki czemu krytyk mógł podpatrzeć artystkę w poważnej i wesołej roli i wyrobić sobie o zaletach jej gry tem dokładniejszy sąd. Treść „Cavallerii“, jednego z najkrótszych zapewne dramacików, rozpowszechnioną dopiero została operową przeróbką Mascagniego. Publiczność znając ostatnią, tem chętniej przybyła oglądać oryginał. Jednoaktowy dramacik ten wywarł wielki wpływ na losy Eleonory Duse, a i autor należał tu do owych szczęśliwców, którym wypadki sprzyjają, bo znowu gdyby nie Duse, to zagasnęłaby pamięć i o nim i o jego dramacie, który prawdopodobnie nie byłby nawet ujrzał światła kinkietów.

---

nie podziałały na Nikitę. Ściągnął brwi, strzepnął śnieg z czapki i kaftana, podszedł do obrazów i jakby nikogo w izbie nie widział, przeżegnał się trzykrotnie i trzykrotnie obrazom pokłonił, poczem zwracając się do starego gospodarza, pokłonił się i jemu, dalej wszystkim siedzącym za stołem i kobietom, a potem cofnął się do pieca ze słowami:

— Winszuję świąt! — i zaczął się rozbierać, nie patrząc na stół.

— Ależ ubielił cię mróz, stryjku — zauważył najstarszy syn, rzucając okiem na pokrytą szronem brodę, rzęsy brwi, a nawet całą twarz Nikity.

Nikita ściągnął długi swój kaftan, jeszcze raz go strzepnął, powiesił przy piecu i zbliżył się do stołu. Zaproponowano i jemu także wódki. Chwilę trwała bolesna walka, już miał wyciągnąć rękę i wlać sobie w usta aromatyczny, przejrzysty płyn, ale spojrzał na Brechunowa, przypomniał sobie uczyniony ślub, i buty przepite, i bednarza i syna wyrostka, któremu obiecywał kupić konia na wiosnę, przypomniał sobie to wszystko — westchnął i — odmówił.

— Nie piję, pokornie dziękuję — powiedział ponuro i usiadł na ławce pod oknem.

— Czemuż to? — zapytał starszy syn.

— Nie piję i tyle — powtórzył Nikita, nie podnosząc oczu, a kosząc je na swoją brodę i wąsy, z których zdejmował sople lodowe.

— On pić nie powinien — zauważył Brechunow, zagryzając wypitą wódkę obwarzankiem.

— Ano, to przynajmniej herbaty — mówiła uprzejma staruszka — przemarzłeś zapewne do szpiku kości, serdeczny. A cóż wy tam z samowarem tak się gmeracie?

— Już kipi — odparła synowa i unosząc z wysiłkiem pryskający wrzącą wodą samowar, postawiła go z głośnem stuknięciem na stół.

Brechunow opowiadał tymczasem, jak błądzili, wracając dwukrotnie do tej samej wsi i jak spotkali w drodze pijanych. Słuchacze dziwili się, tłomaczyli w jakiem miejscu i dla czego zboczyli z drogi, domyślali się co to za jedni mogli być owi pijani, dawali wskazówki, jak należało jechać.

Stąd do Małczanówki małe nawet dziecko trafi, byle tylko skręcić we właściwem miejscu z gościńca, a wyście zbłądzili! — dziwił się wójt.

— A najlepiejby było nocować. Kobiety pościelą — zapraszała staruszka.

— Rankiem pojechalibyście dalej, takby najdogodniej było — przytakiwał stary.

— Nie mogę bracie. Sprawa pilna — tłomaczył Brechunow. — O godzinę spóźnisz, a potem przez rok straty stąd wynikłej nie wynagrodzisz — dorzucił, przypominając sobie lud i miejskich handlarzy drzewa, którzy mogli mu zdmuchnąć korzystny interes. — Wszak dojedziemy, co? — zwrócił się z zapytaniem do Nikity.

Nikita nie odpowiadał przez długą chwilę, niby pogrążony w zdejmowaniu sopli lodowych z wąsów i brody.

— Byle tylko znowu nie zbłądzić — odparł w końcu ponuro. Ponurość Nikity wypływała z namiętnego pożądania wódki. Jedynym środkiem, któryby mógł stłumić to pożądanie, była herbata, a tej dotąd mu nie podawano.

— Wszak byle do zakrętu dojechać, a dalej nie zbłądzisz, bo droga lasem do samego Goriaczkina prowadzi — upierał się Brechunow.

— Wasza rzecz, gospodarzu, chcecie koniecznie jechać, więc jedźmy — odrzekł Nikita, biorąc podaną mu szklankę herbaty.

— Napijemy się herbaty i dalej w drogę! — zawyrokował Brechunow,

Nikita potrząsnął milcząco głową, wylał ostrożnie herbatę na miseczkę i grzał skostniałe ręce nad parą. Poczem odgryzł okruszynę cukru i kłaniając się gospodarzom rzekł:

— Za wasze zdrowie! i przytknął usta do ogrzewającego napoju.

— Gdyby tak odprowadził nas kto do zakrętu — bąknął Brechunow,

— A dla czegożby nie? — odparł starszy syn — Pietrek zaprzągnie konia i będzie wam towarzyszył.

— Jeżeli tak, to zaprzęgaj, bracie, a ja nie zapomnę ci podziękować.

Rzecz miała się tak. Roku 1880 należała Duse do trupy Cesarego Rossi w Turynie i grywała drugorzędne role naiwnych. Rossi przygotowywał w tym czasie wystawę wspomnianej już „Cavallerii“, lecz aktorzy mieli jeszcze podczas ostatnich prób tyle trudności do zwalczenia, że rozmyślano już nad tem, czy nie lepiej byłoby odesłać autorowi manuskrypt i zaniechać sztuki, która zdawała się nie kwalifikować na scenę. Gdy do tego zachorowała jeszcze przedstawicielka Santuzzy, postanowiono ostatecznie zaniechać przedstawienia, a publiczność innym uszczęśliwić dramatem. Dyrektor był w kłopocie, autor rwał sobie włosy ze wstydu nad niepowodzeniem, ale Duse rozwiała im troskę z czoła, prosząc, żeby rolę Santuzzy jej powierzono. Uradowany autor klękał podobno przed artystką, dyrektor natomiast, mający już poza sobą i zachwyty młodzieńcze i niejedno gorzkie doświadczenie, nie dowierzał początkowo siłom Dusy. Ponieważ czas jednak naglił, dał się nakłonić. Duse objęła tegoż wieczora rolę chorej koleżanki i odegrała ją z taką werwą, takiem uczuciem i prawdą, że od razu podbiła sobie widzów i zwróciła na siebie uwage poważnej krytyki, która ukorzyła się przed talentem młodej wówczas artystki. Jeden ten wieczór stanowił o jej losie i odtąd powodzenie towarzyszyło jej występom i tryumf odnosiła po tryumfie, powiększając rozgłos swej sławy.

W dramacie Vergasa, przyciętem następnie odpowiednio do wymagań kompozytora opery, występuje więcej osób, niż Mascagni mógł potrzebować; biorą tam udział nieznane nam postacie kowala Brasi, starego Donżuana, handlarki jaj Pipuzzy, jej sąsiadek z buzi podobnych do naszych przekupek i inne jeszcze figury. Nie piszę tu oceny sztuki i ensemble'u i dla tego ograniczyć się muszę na kilku szczegółach o roli Santuzzy w interpretacyi Eleonory Duse. Charakterystykę artystki śmiało nazwać można niezrównaną. Pobladła twarz i jakiś ponury, rozpaczliwy wyraz Santuzzy świadczyły o nocach spędzonych wśród łez i załamywaniu rąk, puch dziewiczości starty z całej postaci budził współczucie dla tej biednej istoty, porzuconej przez niewiernego kochanka, walka wewnętrzna, jaką w jej duszy miłość z zemstą toczyła, była dla każdego widoczną i zrozumiałą. Zachowanie się Santuzzy znamionował nerwowy niepokój, z jej bojaźliwych i wstydliwych spojrzeń padał wyraz trwogi i wyrzutu, głos jej. w którym drgały jęki i łzy ludzkie, przebiegał całą skalę uczuć i namiętności. Publiczność z rzadkiem zaciekawieniem towarzyszyła psychologicznemu rozwojowi stanu jej duszy. Widać było jak artystka wznosi się po drabinie uczuć, coraz wyżej, coraz niebezpieczniej, aż stanęła na ostatnim chwiejnym szczeblu. Publiczności zamierał dech w piersiach i „duszą i ciałem“ była z artystką; znakomitą swą grą porwała Duse wszystkich i nikt od jej postaci oczu nie mógł oderwać, gdy całą gamą boleści od pianissimo skargi, aż do forte wybuchu rozpaczy odzwierciedliła zrozpaczony stan duszy kobiecej.

To też, gdy zapadła kurtyna, przejęta publiczność nie poważyła się początkowo czczym oklaskiem nagrodzić artystki i dopiero po chwili, gdy widzowie przetarli zdumione oczy i poznali, że teatr nie scenę świata mają przed sobą, zerwała się szalona burza braw frenetycznych, a artystkę zasypano kwiatami. Tegoż wieczora jeszcze wystąpiła Duse w komedyi Goldoniego „la Locandiera“ (gospodyni). Błaha treść sztuki równa się zeru. Główną rolę odgrywa tu młoda gosposia, która przywykłszy do hołdów swych gości, gdy napotkała pierwszego mężczyznę, który nie dał się podbić jej uroczą kokieteryą — wszystko stawia na kartę, żeby rozbudzić w nim miłość, lecz doprowadziwszy go do tego, że po uszy zakochany oświadcza się o jej rękę, zmienia front, zrzuca maskę z twarzy i pada w ramiona własnego garsona, z którym idzie na ślubny kobierzec. Z roli swej stworzyła artystka nadzwyczaj milutką rokoko figurkę i widząc ją wówczas dreptającą po scenie i bawiącą się fartuszkiem, widząc jej łechtającą kokieteryą, jej lekkomyślność, wesołość, żywość — nikt nie byłby przeczuwał, że dziś, gdy niżej podpisany słowa te kreśli, sławna artystka chora w Medyolanie poddać się musi niebezpiecznej operacyi. I tu w komedyi jak poprzednio w dramacie, Duse okazała się artyską „z łaski bożej“, a żegnana przez publiczność, zwróciła się do niej ze słowami, które na zakończenie „Locandiery“ właściwie do odpalonych konkurentów się odnosiły:

Cieszy mnie, że panowie mi nie złorzeczycie,
Że miłą pamięć zachować mi chcecie,
Inaczej smutnem byłoby me życie.

Ze gra odbywała się w języku włoskim, o tem na początku zdawało mi się zbytecznem wspominać; malownicze kostyumy artystki rysuje podobno mąż jej, który z zawodu jest malarzem. Trupa cała składa się z uzdolnionych dzieci Melpomeny, które dobrze wychowane gry nie psuły, ale owszem w odpowiednio rozebranych rolach nadawały jej jednolitość i zaokrąglenie.

Jest jedna gwiazdka w otoczeniu Dusy, która za lat kilka stanie się może gwiazdą wspaniałą.

Witold Leitgeber.

ŻYCIE SPOŁECZNE.

Uderz ale słuchaj!

Gruntowne badanie naszych poznańskich stosunków doprowadza nieuchronnie każdy umysł bezstronny do pesymistycznych wniosków, a każde szczerze patryotyczne serce goryczą zalewa.

Na nic się nie zdadzą skargi nieustanne na ucisk i przemoc, na nic głośne protesty przeciw gnębiącemu nas systemowi — bezsilni jesteśmy nietylko wobec rządu opartego na przewadze fizycznej — co gorsza — w rodzinie europejskich ludów wartość nasza maleje z dniem każdym. Do ogólnej skarbnicy dóbr narodowych nie dorzuca zabór pruski już od dość dawna żadnego na własnym warsztacie wypracowanego dzieła, żadnej nowej myśli — żadnego cywilizacyjnego nabytku. Nie dość na tem, — to, co rodacy nasi wytworzyli mozolnie mimo walk i przeszkód w pracowni ducha swego — ożywcze prądy zdrowej, świeżej krwi, które z serca Polski przyspieszonem tętnem do najodleglejszych jej napływają dzielnic — u nas mają wstęp stanowczo wzbroniony. — Zachwyceni własną umysłową ciasnotą, zasklepieni w maleńkim widnokręgu naszego deskami zabitego prowincyonalnego światka, nie łączymy się z żadnym swoim czy obcym umysłowym ruchem, zaprowadzamy ścisłą cenzurę na wszelkie nowe kierunki, odrzekamy się jak czarta wszelkiego postępu i rozwoju — rozmyślnie pogrążając się w duchowej pleśni i moralnej zgniliźnie. — I podczas, gdy w świecie cywilizowanym ruch myśli odbywa się w coraz szybszem tempie, podczas, gdy Europę przepływają świeże, szerokie prądy czystego powietrza i światła, które w niej wciąż nowe życie budzą i wciąż nowe siły powołują do cywilizacyjnej pracy ludzkości, — gdy nawet kwarantanną rosyjskiej cenzury odgrodzona od świata Warszawa czerpie z tej skarbnicy myśli coraz nowe pierwiastki duchowego życia — my w ciasnej, ciemnej celi zamknięci, ryglujemy drzwi i okna, by bez przeszkody tonąć coraz głębiej w śnie letargicznym.

Najwymowniejszym dowodem prawdziwości tego twierdzenia jest fakt, że każda krytyka panujących u nas poglądów przyjmowana bywa stale okrzykami oburzenia. — Tylko krytyka sumienna i surowa do jakiejkolwiek reformy

---

— Co znowu, sąsiedzie! — zawołała uprzejma staruszka — z całego serca gotowi jesteśmy wam usłużyć.

— Pietrek. biegnij konika zaprzęgać!

— Czemu nie! — zawołał uśmiechnięty Pietrek, zdjął czapkę z gwoździa i wyleciał z izby.

Rozmowa wróciła do przedmiotu, o którym się toczyła przed zjawieniem Brechunowa. Stary ojciec żalił się przed wójtem na trzeciego syna, który mu nic nie przysłał na święto, podczas gdy żonę swoją obdarzył chustką francuskiego wyrobu.

— Zepsucie szerzy się coraz bardziej między młodem pokoleniem — skarżył się stary.

Oh i jak! — zgodził się wojt. — Rady sobie dać z nimi nie można. Zanadto zmądrzeli. Weźmijmy dla przykładu choćby Dominika, co ojcu rękę złamał. A wszystko to z wielkiego, jak widać, rozumu.

Nikita przysłuchiwał się uważnie rozmowie, spoglądał po obecnych, radby był i sam wtrącić słówko, ale picie herbaty zanadto go pochłaniało, głową więc jeno potakująco kiwał. Opróżniał jedną szklankę po drugiej i było mu coraz cieplej i coraz milej na sercu.

Rozmowa toczyła się tymczasem o szkodliwych skutkach podziału gruntów. Znać było, że chodziło tu nie o zasadę oderwaną, ale o podział, który groził tej chacie, a którego domagał się młodszy syn, siedzący teraz w ponurem milczeniu za stołem. Paląca ta kwestya obchodziła widocznie jak najżywiej wszystkich domowników i jedynie poczucie przyzwoitości nie pozwalało im rozstrząsać spraw osobistych w obecności gości. Ale stary nie potrafił dłużej panować nad sobą i drżącym od łez głosem zawołał w końcu, że dopóki on żyje, dopóty na podział nie pozwoli, że teraz dziękować Bogu, nie źle się im dzieje, ale jak się podzielą, z torbami wszyscy pójdą.

— Jak u Mateuszów naprzykład — dorzucił wójt. — Dom był zamożny, dopókąd się nie dzielili, a teraz każdy z nich figę ma w kieszeni!

— I ty starasz się widocznie o to samo — zwrócił się stary ojciec do syna z wyrzutem.

Syn nie zdobył się na odpowiedź i w izbie zapanowało kłopotliwe milczenie. Przerwał je Pietrek, oświadczając ze zwykłym sobie uśmiechem, że koń już gotów,

— A więc jazda! — zawołał Brechunow.

Nikita wysączył właśnie piątą szklankę, ale nie przewracał jej dnem do góry, że pić więcej nie będzie, lecz bokiem położył w nadziei, że jeszcze szóstą dostanie. W samowarze jednak zabrakło już wody i gospodyni mu nie nalewała, a tymczasem i Brechunow ubierać się zaczął. Nadzieja na szóstą szklankę zgasła niepowrotnie. Nikita wstał, odrzucił wedle zwyczaju do cukiernicy nadgryziony ze wszystkich stron kawałek cukru, otarł spoconą twarz połą ubrania i poszedł wdziewać kaftan.

Ubrał się, westchnął głęboko, podziękował gospodarzom, żegnając ich zarazem i wyszedł z ciepłej, jasnej izby do sieni zimnych, ciemnych, huczących od wrywającego się do wnętrza wiatru, zasypanych śniegiem przez szpary drzwi, a stamtąd na ciemne podwórze.

Pietrek stał ubrany w kożuch przy swoich saniach pośrodku dziedzińca i uśmiechając się, recytował wiersze z Paulsona- „Burza mgłami niebo kryje, tumanami śniegu miecie; to jak zwierzę tak zawyje, to zapłacze niby dziecię“.*) Nikita kiwał potakująco głową, rozplątując lejce.

Stary gospodarz, odprowadzając Brechunowa, wyszedł z latarnią do sieni, ale wiatr natychmiast światło zagasił. Nawet w podwórku znać było, że zamieć rozszalała się na dobre.

— To mi dopiero psi czas! — pomyślał Brechunow. — Trudno będzie, naprawdę, dojechać, ale zostać nie mogę, interes pilny. Wybrałem się już zresztą. Koń gospodarski zaprzężony. Dojedziemy, da Bóg!

*) Ustęp z poezyi Puszkina, powtarzającej się we wszystkich czytankach dla szkół ludowych. (P. tłum.)

(Ciąg dalszy nastąpi).

doprowadzić może. Jest ona pierwszym krokiem, koniecznym warunkiem doskonalenia się — u nas zaś nie istnieje wcale — jest wyklęta i na wieczną banicyą skazana.

Jak zabójczym jest ten brak krytyki w życiu społecznem i politycznem, wykazywałam już dawniej mówiąc o etyce dziennikarskiej. Twierdziłam, że z zaciętym konserwatyzmem naszym idzie w parze zupełny zanik sumienia publicznego, którego wyrazem jest w każdem społeczeństwie sumienne i gorliwe poszukiwanie prawdy.

Ten sam smutny objaw, który zaznaczałam w naszem życiu publicznem, uderza boleśnie na polach nauki, literatury i sztuki, — które dzięki temu zupełnie odłogiem u nas leżą.

I tu, jak w życiu społecznem prawda jest dla nas rzeczą obojętną: obrona własnych przekonań, wiara we własne słowa, dążenie do wyrobienia sobie jasnego pojęcia o rzeczy i uczciwość, nakazująca publicznie głosić to, w co się wierzy osobiście, — to zjawisko dla nas nieznane i niezrozumiałe — tak dalece, że zamiast uznania i szacunku na potępienie i na prześladowanie narażają. — Słowa nie służą u nas do wyrażania, lecz do ukrywania myśli — tak jak rozum nie służy do poznawania prawdy, lecz do fałszowania jej i przekręcania.

W każdem społeczeństwie ludzkiem istnieje niewiadomość i umysłowa miernota; jestto złe konieczne, którego żadna potęga ziemska nie wypleni z pośród ludzkości, — ale tylko u nas, tylko na poznańskiej ziemi, zamiast nieśmiałej, upokorzonej helotki jest ona wszechwładna królową i panią, tylko u nas podnosi ona głowę do góry i woła: „na kolana przedemną, bo ja rządzę“.

Cały zapas wiedzy, którym zadawalnia się społeczeństwo nasze, zawiera się w podręcznikach szkolnych, i ten nawet zapas ceni się jedynie jako środek do zdobycia dyplomu i kawałka chleba. — Na pewno twierdzić można, że gdyby teorya Kopernika nie była uzyskała już przed wielu laty sankcyi oficyalnych gimnazyalnych programów, — autor jej do dziś dnia w Poznaniu uchodziłby za herezyarchę, nowatora, masona, i t. d.

Zamiłowanie do nauki i zainteresowanie się jej zagadnieniami nigdzie jednak z u p e ł n i e ogólnem być nie może i wszędzie jest udziałem mniej lub więcej licznych inteligentnych mniejszości. Najbardziej rozpowszechnioną i najulubieńszą strawę umysłową ogółu stanowi wszędzie literatura piękna, i ona też dzięki temu staje się ważnym czynnikiem umysłowego i moralnego rozwoju społeczeństw, bezpośrednio działając na ukształtowanie pojęć i uczuć narodu.

Nie możnaby nam z tego zbyt ciężkiego robić zarzutu, że nie wytworzyliśmy własnego poznańskiego piśmiennictwa, że nie mamy licznego zastępu poetów, powieściopisarzy, dramaturgów. — Literatura jest własnością narodu, a choć uderzać musi mały współudział naszej dzielnicy w pracy około zwiększania duchowego dorobku kraju, — zjawisko to możnaby różnemi warunkami tłomaczyć i usprawiedliwić. Co jednak bezwarunkowo ani wytłomaczyć ani usprawiedliwić się nie da, to zupełny brak estetycznego smaku i samodzielnych literackich poglądów w naszem społeczeństwie. Względem piękna zachowujemy tę samą obojętność, co względem prawdy; nie dbamy o nie, nie szukamy go, a pojęcia estetyczne u większości naszej inteligencyi nie wiele się różnią od pojęć estetycznych tej ludności stolicy, która jej poddasza i suteryny zajmuje. — Z warszawskich tygodników np. najbardziej rozpowszechnioną jest u nas „Biesiada literacka“, pisemko oddające zresztą wielkie usługi społeczeństwu rosyjskiego zaboru, gdyż stanowi zdrowy i strawny pokram dla umysłów niewykształconych i niezamożnych czytelników.

Gdybyż zresztą nasze potrzeby umysłowe były tylko skromne, a nasze pojęcia estetyczne niewyrafinowane — nie byłoby potrzeby rozpaczać. Świadczyłoby to o nizkim stopniu naszego umysłowego rozwoju, lecz nie zagradzałoby drogi do wstąpienia na wyższe szczeble. Niestety, przeważnie pojęcia nasze w tym kierunku są wprost fałszywe, a smak spaczony i tu znów winić należy prasę i jedynie prasę. — Krytyka literacka stanowi zwykle dla publiczności szkołę, która kształci jej estetyczne pojęcia i na właściwą wprowadza je drogę. — Zadaniem jej jest dany utwór literatury lub sztuki scharakteryzować, podkreślić jego rysy znamienne, wykazać błędy lub zalety, słowem oświetlić go właściwie i publiczności ocenienie jego ułatwić. Objektywna ktytyka jestto taka, której za podstawę służy dzieło samo, jego zalety i wady, — nie zaś osobistość autora, jego polityczne przekonania lub nawet kierunek literacki przez niego wyznawany. — U nas jednak objektywizm pojmuje się inaczej, — zasadza się on na mieszaninie pochwał i nagan, komplementów i nauk, w proporcyach rozmaitych, to prawda, lecz bynajmniej nie zawarunkowanych wartością danego dzieła. Pochwały wypowiada krytyk przez uprzejmość dla autora, nagany dla utrzymania własnej powagi i opinii swego znawstwa. Gorące uznanie, szczery poklask nie przystoi naszym zoilom, również nie odpowiada ich pojęciom nazywanie rzeczy po imieniu tj. ramoty — ramotą, lub arcydzieła arcydziełem. Gdyby dziś u nas w Poznaniu z pierwszemi płodami swego pióra debiutowali równocześnie Rozbicki i Mickiewicz, krytyki ich utworów w pismach naszych wypadłyby niezbyt odmienne — jednemu i drugiemu przyznanoby trochę talentu, jeden i drugi usłyszałby kilka nauczek tonem mentorskim wypowiedzianych. To się u nas nazywa krytyką bezstronną i uczciwą.

Dla tego też jestto prawdziwem nieszczęściem dla autorów, jeśli na pierwszy ogień krytyki prace swe wystawiają w Poznaniu. — Atmosfera moralnej i umysłowej nicości sprzyja wybujałemu rozwojowi miernot, a zabija istotne talenty. Można powiedzieć nawet, że dla miernoty literackiej stworzono u nas system protekcyjny.

Wszystko, co znamię wyższości nosi, co po nad ów łokieć poznański wyrasta, znienawidzonem jest i prześladowanem wszelkiemi dozwolonemi czy niedozwolonemi środkami.

W tych rzeczach poznańska krytyka nie krępuje się ani prawidłami estetycznemi, ani żadnym względem moralnym, ani głosem własnego sumienia. Ostatnie czasy dostarczyły jaskrawych dowodów, potwierdzających to spostrzeżenie. Wystawiono dramat autora miejscowego; samo nazwisko ściągnęło licznych widzów, przeważnie zresztą niekorzystnie uprzedzonych. Taką jednak jest potęga talentu, że w obec utworu, napisanego z siłą dramatyczną i natchnieniem, zgodnie z prawdą życiową, publiczność, której zdrowych instynktów i szlachetniejszych porywów bezwzględnie odmówić nie można, doznała głębokiego wzruszenia i niedwuznacznie wyraziła swe zadowolenie. Krytyka postarała się ochłodzić ten zapał. Jedni dla utrzymania swej powagi, inni przez niechęć stronniczą, niektórzy wreszcie pod wpływem nizkiej zawiści, mozolnie wyszukiwali plamy i usterki i wydobyli na jaw tyle zarzutów, na ile tylko ich pomysłowość starczyła. Nie dość na tem; nie zadawalniając się tryumfem z pognębienia talentu, noszącego tak znienawidzoną cechę wyższości, sieć swych intryg rozciągnęli dalej i wysłali, lubo bezskutecznie, ostrzeżenia przed ideowym charakterem sztuki do zamiejscowych teatralnych dyrekcyi, obawiając się zapewne, by przychylne przyjęcie dramatu na innych scenach nie zdemaskowało ich złej woli lub ignorancyi. Oto jeden fakt, dość wymowny, aby go bez komentarzy rzucić w twarz tylu, którzy pod osłoną sztucznej powagi społeczeństwo zatruwają jadem najniższych instynktów.

Wkrótce potem wystawiano drugi dramat: autorem był również Wielkopolanin. Jeżeli mówię „d r a m a t“ nie znaczy to wcale, by utwór na nazwę tę zasługiwał. Publiczność na razie nie wiedziała sama co myśleć o szeregu scen, nie połączonych żadnym logicznym węzłem, żadną konsekwentną myślą. Nastrój ogólny był przygnębiający; niejeden pozostał w teatrze jedynie przez uprzejmość dla autora. Dopiero ku końcowi sztuki twarze ożywiły się wrażeniem wprost przeciwnem temu, które dramaturg osięgnąć zamierzał — tj. im większe klęski i nieszczęścia spadały na bohaterów, tem większa wesołość panowała w teatrze i to tak dalece, że piątego aktu wysłuchano wśród śmiechu (sic), żartów i złośliwych uwag. Przy wyjściu z teatru nie słyszano ani jednej pochwały. Inteligentniejsze jednostki były wprost zgorszone, a dziennikarze i krytycy przesadzali się wzajemnie w ostrych dowcipach. Najbliżsi przyjaciele autora unikali go, niezdolni chwalić wbrew przekonaniu, a nie chcąc ranić jego miłości własnej zbyt ostrą naganą. Lecz oto po dniach paru ukazują się w pismach poznańskich dziwnie pochlebne recenzye. Sprawozdawcy przyznają autorowi piękną tendencyę, niektórzy tylko przyznają mu „naiwną oryginalność pomysłu“, na co zresztą zgodzić by się można, jeśli naiwność ma być u pisarza dramatycznego zaletą.

Jeden z krytyków, zainterpelowany przez znajomych, czemu chwali sztukę wbrew przekonaniu, powiada: „Cóż wam to szkodzi? ucieszy się, napisze jeszcze „weselszy“ dramat i jeszcze lepiej się zabawimy.“ (sic!) To się nazywa u nas uczciwą i bezstronną krytyką!

Wolno krytykom nie krępować się tą lub ową szkołą, nie wzorować swych sądów na dawnych czy nowych prawidłach, ulegać wrażeniom subjektywnym i pod wpływem wrażeń szczerze wyznać zachwyt lub niesmak. Czego jednak bezwarunkowo nie wolno, co stanowi plamę każdego literackiego nazwiska i brudzi pióro ludzi piśmiennictwem się trudniących — to ś w i a d o m e fałszowanie prawdy, wprowadzanie opinii publicznej na manowce, dobrowolne ogłupianie społeczeństwa i wypowiadanie sądów, z których sami się śmieją.

Publiczność nasza ma czasem zdrowe instynkta i smak nie ze wszystkiem zepsuty, nie ma jednak dość artystycznego wykształcenia, odwagi i samodzielności, aby podnieść śmiały protest przeciw nieuczciwym wybrykom prasy i wbrew jej woli otoczyć uznaniem talent, a napiętnować niedołęztwo.

Recenzye stronnicze niekiedy zdarzają się wszędzie, nie są one jednak regułą lecz wyjątkiem i dla tego w ostatecznym razie służy autorowi apelacya do sądu publiczności, której smak wyrobiony chroni prawdziwy talent przed intrygą i zawiścią. Tak naprzykład w Warszawie publiczność utrzymała na repertuarze i uznaniem otoczyła „Gniazdo rodzinne“ Sudermanna, zrazu przez sprawozdawców najpoczytniejszych (choć nienajpoważniejszych) pism od głębszej odsądzone wartości.

Sąd publiczności okazał się zgodnym z sądem europejskiej krytyki, a recenzenci zmuszeni zostali do kapitulacyi. U nas jednak fakt taki jest niemożliwym. Zdrowy smak i szczerze artystyczne poczucie dzielą w Poznańskiem los nauki: pogardą zdeptane oddawna już poszły w poniewierkę i lękliwie kryją się na uboczu, nie śmiejąc głowy na światło dzienne wychylić. W ich miejscu panoszą się ignorancya i barbarzyństwo — dochodząc do niesłychanej bezczelności. Przez nieuczciwą gospodarkę krytyki i prasy obałamucane społeczeństwo zatraca stopniowo wszelkie wyższe i szlachetniejsze instynkty i dążności, przytępia w sobie wrażliwość na wszystko, co dobre i piękne, sprawiedliwe i rozumne, cierpliwie słucha najbardziej krzyczących nonsensów i bez zmarszczenia czoła czyta największe estetyczne herezye.

Ludzie wyższemi obdarzeni aspiracyami, przez los nieszczęsny umieszczeni w tem poznańskiem bagienku, w którem żyć i rozwijać się może to tylko, co pełza — a to, co ma skrzydła do lotu, na zagładę skazane być musi — powinni na swą pociechę odczytywać często te słowa Nietzchego: *„Gdy spoczywałem we śnie, przyszła owca i zjadła mój wieniec wawrzynu i rzekła: „Zarathustra nie jest już uczonym“. To rzekłszy dumna odeszła.*

I oto dla owiec nie jestem już uczonym; tak chce moje przeznaczenie i niechaj będzie błogosławione!“

Iza Moszczeńska.

KRONIKA GALICYJSKA.

(Święto robotnicze. Akademia umiejętności. Gimnazyum żeńskie we Lwowie. Reformy p. Bilińskiego. Nasze filantropki. Dar Pruszkowskiego. Składki na Wawel.)

Miesiąc maj stał się u nas miesiącem socyalistów i Akademii Umiejętności. Pierwszy maja jest świętem robotników, zatrudnionych pracą ręczną, trzeci maja robotników zajętych pracą umysłową.

Władze dowiedziały się nareszcie w tym roku, o czem dawno wiedzieli zwykli śmiertelnicy, tak zwani dziennikarze. Pisali oni mianowicie oddawna, że chcąc uniknąć zajść i rozruchów przy zebraniach robotniczych, najlepiej jest nie prowokować ich przez nadzwyczajne środki ostrożności, nie wmawiać w robotników, że każde ich zebranie jest groźnem niebezpieczeństwem dla społeczeństwa i państwa, nie występować przeciw paru tysiącom czerwonych kokardek ze setkami manlicherów. Jak powiadam władze nareszcie to zrozumiały, a więc nie zaprowadzono pierwszego maja rodzaju stanu oblężenia, nie widziano we Lwowie i Krakowie broni ustawionej w kozły, i gdyby nie czerwone plakaty, ogłaszające o zgromadzeniach ludowych, niejeden spokojny obywatel nie wiedziałby nawet, iż burzliwe żywioły obradują nad przewróceniem do góry nogami porządku społecznego. Tak we Lwowie jak i Krakowie zgromadzenia robotnicze odbyły się pod gołem niebem: w pierwszem z tych miast na placu Franciszkańskim obok koszar wojskowych, a w Krakowie w ogrodzie hotelu Londyńskiego na Stradomiu. Na obu zebraniach uchwalono ośmiogodzinny dzień pracy i powszechne wybory. Co do tych ostatnich zapewniał w Krakowie p. Daszyński, że cesarz pod tym względem jest jednej myśli z robotnikami. We Lwowie, jak widzę ze sprawozdań, uchwalono jeszcze wiele innych rzeczy jak zniesienie koszar, stałej armii, loteryi, za czem wszystkiem z przyjemnością głosowaliby nietylko sami socyaliści, gdyby wiedzieli, że głos ich nie pozostanie głosem wołającego na puszczy.

Doroczne publiczne posiedzenie Akademii Umiejętności miało formy steorytypowe, co zresztą inaczej być nie może. Były minister skarbu JE. Dunajewski, jako zastępca protektora Akademii arcyksięcia Karola Ludwika, zagaił posiedzenie oddaniem hołdu członkom instytucyi za ich prace, posuwające naprzód naukę i umiejętności. Prezes Akademii prof. Stanisław Tarnowski dziękował tym wszystkim, co dają żywe dowody życzliwości i uznania dla Akademii. Wspomniał, iż uposażenie jej jest niedostateczne, ale to nie przeszkadza, aby w miarę środków nie starała się odpowiedzieć swojemu zadaniu. Pracę naukową porównał do irrygacyi; głównym zbiornikiem wody, mającej użyźniać dane przestrzenie, jest Akademia, należy więc mieć troskę o ten zbiornik, ażeby nie zabrakło wody w żadnym z rozprowadzających ją kanałów. Sekretarz Akademii, prof. Smolka, zdał sprawę z czynności instytucyi, a szczegółowsze sprawozdanie w formie broszury rozdano obecnym. Prócz tego p. sekretarz generalny poświęcił wspomnienie zmarłym członkom, wykazywał brak odpowiednich środków materyalnych i stawał w obronie praktykowanego dziś rozdziału funduszów między wydziały, wobec głosów, które odezwały się za uszczupleniem funduszów wydziałowi matematyczno-przyrodniczemu. Po sprawozdaniu prof. Smolki wygłosił dr. Władysław Abraham, profesor uniwersytetu lwowskiego, odczyt o pierwszym w Polsce sporze kościelno-politycznym. Następnie ogłoszono nazwiska nowo wybranych członków Akademii, oraz nagrody z fundacyi Barczewskiego i im. Lindego. Z pierwszej fundacyi otrzymali nagrody p. Władysław Mickiewicz za czterotomowy żywot Adama Mickiewicza, Henryk Siemieradzki za kurtynę do teatru krakowskiego i Józef Brandt za „Modlitwę Ormian“. Co do nagród za dzieła malarskie słuszną już nieraz robiono uwagę, iż Akademia nie całkiem właściwie rozumie myśl fundatora, któremu zapewne nie chodziło o to, aby oddawna uznanym i zamożnym mistrzom powiększać zbiory banknotów, ale aby nieść pomoc ludziom młodym, którzy zabłysnęli swym pierwszorzędnym talentem. Nagrodę im. Lindego otrzymał dr. Bolesław Erzepki z Poznania za „Słownik łacińsko-polski Bartłomieja z Bydgoszczy z roku 1532.“ Słownik ten był całkiem nieznany, a jest ważnym przyczynkiem do historyi naszego języka. Dr. Erzepki ułożył na jego podstawie Słownik polsko-łaciński, przez co przybyło sporo wyrazów, o których nie wiedział ani Linde, ani żaden z jego następców na polu badania naszego języka.

We Lwowie panuje radość pomiędzy płcią piękną, garnącą się do wiedzy. Wiadomo, iż była ona w położeniu bez wyjścia. Na uniwersytetach galicyjskich oświadczono jej krótko i węzłowato, że bramy ich będą dla niej zamknięte, dopóki nie przyniesie świadectw z ukończonego gimnazyum. Udała się przeto do Rady szkolnej z prośbą o otworzenie gimnazyum żeńskiego, na co jej „Wysoka (nie głęboka) Rada szkolna“ odpowiedziała, że gimnazyum będzie założone w razie, jeżeli uniwersytety zgodzą się mieć obok uczniów i uczennice. Kto wynalazł te dwie odpowiedzi, tak wzajem się dopełniające, ten powinien postarać się o patent na wyrób łamigłówek. Płeć piękna osiadła na lodzie i myślała jedynie nad wynalezieniem środka zemsty na Bobrzyńskich, Rydygierów, oraz innych swoich otwartych i tajnych wrogów. Właściwie można im było najlepiej dokuczyć, zakładając własnym kosztem gimnazyum, ale nasze panie filantropki i emacypantki, ilekolwiekbądź razy zajmują się jakiemiś składkami lub przysporzeniem funduszów jakiejś instytucyi, zawsze ofiarują swoje nóżki do tańca i deptania, buzie do mówienia, rączki do nalewania herbaty, podawania ciast i cukierków, ale zawsze starają się, aby portmonetki ich przy tych trudach nie schudły. My brzydale opłacamy wszystkie ich zapędy filantropijne, które damom naszym dostarczają w zamian za ich poświęcenie sporo przynajmniej zabawy, a później jeszcze w dziennikach reklamujemy ich serca, wdzięki, uśmiechy i toalety. I w tym wypadku nasze panie były gotowe do poświęceń, aby założyć gimnazyum; gotowe były zbierać pomiędzy płcią męzką podpisy na udziały, ale jakoś sprzykrzyły się płci męzkiej poświęcenia kobiece i akcya się nie udała. Na szczęście przyjechała z Królestwa, czy z prowincyi zabranych, pani K. i nie ogłaszając nawet swego nazwiska, złożyła 30,000 rubli na ręce posła Piętaka na wybudowanie gimnazyum żeńskiego we Lwowie. Dotychczas w całej Austryi istnieją dwa takie gimnazya: jedno czeskie w Pradze, założone przez Stowarzyszenie kobiet i jedno niemieckie we Wiedniu, założone również przez „Frauenverein“. Tak więc Galicya dzięki ofiarności zakordonowej, mieć będzie trzecie z rzędu w Austryi żeńskie gimnazyum. Profesor Piętak z gronem pedagogów zajmuje się szczerze przeprowadzeniem projektu. Plan nauk rozkładać się będzie na sześć lat tylko, ze względu, że przyjmowane będą do zakładu uczennice, które już skończyły dwa kursa szkoły wydziałowej. Pierwsza klasa ma być otwartą już we wrześniu r. b., a rozchodzi się na razie tylko o to, czy wystarczą fundusze. Trzeba będzie ustanowić znaczną stosunkowo opłatę roczną, ale cóż robić? — takie nastały czasy, że za wszelkie prawa dobrze płacić potrzeba.

Będziemy naprzykład niezadługo dobrze płacili za prawo jeżdżenia austryackiemi państwowemi kolejami. Dyrektor tych kolei, nasz „znakomity ekonomista“ i nasz równie znakomity kandydat na ministra, JE. Biliński, postanowił wykazać się większym dochodem, a jako człowiek wielkiej inicyatywy i głębokich pomysłów uznał, że najlepiej będzie podwyższyć ceny jazdy. Maluczko, a jazda z Krakowa do Rzeszowa będzie nas więcej kosztowała, aniżeli przed laty 10, kiedy na czele zarządu kolejowego stał Niemiec. Ludzie bogaci, jadący pierwszą klasą, mniej tę podwyżkę odczują, skrupi się, jak zwykle, na warstwie uboższej. Cieszą się z tego tylko właściciele żydowskich furmanek i omnibusów, bo na niewielkich przestrzeniach odzyskają utracone przywileje. Czy J. E. Biliński nie zawiedzie się w swoich genialnych rachubach, można jeszcze postawić znak zapytania, — bo już i przy dzisiajszych cenach kolei austryackich podróż z Krakowa do Tryestu mniej kosztuje jadąc przez Węgry, choć droga jest dalsza. Zdaje się, że wobec nowej taryfy cała wschodnia Galicya, jadąc do Wiednia, używać będzie linii węgierskich. A nie jestto bynajmniej pierwsze podniesienie taryfy, bo już przed dwoma laty raczył ekscelencya podwyższyć ją o jedną czwartą. Z Krakowa do Chabówki (stacya do Zakopanego) płaciło się dawniej 1 złr., obecnie płaci się 1 złr. 28 ct., a podług nowej taryfy opłata wynosić będzie 1 złr. 70 ct. Miłe stosunki, zważywszy, że w całej Europie, nie wyjmując Rosyi, cena biletów jazdy koleją nie podwyższa się, lecz spada. Ba, ale od czego ministeryalna głowa wielkiego ekonomisty!

A propos ofiarności naszych dam, o której tak zaszczytnie wspominałem, wpadł mi przed oczy rachunek złożony z jakiejś loteryi gospodarczej, urządzonej na dochód biednych w czasie wielkiego tygodnia. Właściwie nie był to rachunek, lecz podziękowanie pani Kukuwiczowej za dwa funty cukru, panu Kukawskiemu za kilo herbaty, pani Kukensteinowej za dwa placki, panu Kokockiemu za wino, panu Kikischmidowi za szynki itd. Co zaś ofiarowały ze swej strony dziękujące jaśnie wielmożne panie, pozostało tajemnicą. Cały dochód, jaki wpłynął, był ofiarą ludzi średnio lub mało zamożnych — jasne panie dały swe „trudy i pracę“. Przypomina mi to inne podziękowanie. Donosiłem, zdaje mi się, iż zacny pan Ignacy Żółtowski dał wlokącemu marnie swój żywot „Towarzystwu pracy kobiet“ 15.000 złr. Dzienniki nasze strasznie ten czyn podniosły, ale dodały zarazem, iż zacny ofiarodawca złożył ten dar, „mając pewną gwarancyą w składzie komitetu“. Otóż do komitetu tego należą w większej części nasze arystokratki, które przedstawiają majątku własnego i mężowskiego z jakie 50 milionów. Biedactwo to musiało czekać, aż się znajdzie pan Żółtowski, który wyratuje pod ich opieką pozostającą instytucyą. Ale wiemy przynajmniej, na co nasze jaśnie panie się zdadzą — oprócz „trudów i poświęceń“ dają jeszcze... gwarancyą.

Nie pytał o gwarancyą malarz Witołd Pruszkowski, ofiarując swój prześliczny obraz „Sielanka“ na rzecz budowy szkoły polskiej w Białej. Wartość jego oznaczają znawcy na 3,000 złr. Zapytuję się, bo sam nigdy o tem nie słyszałem, czy znajduje się jaki książę lub hrabia galicyjski, któryby na rzecz oświaty ludowej złożył podobną sumę. Nie podoba mi się tylko, że znakomity artysta użył pośrednictwa „grona pań szkoły ludowej,“ panie te bowiem będą znów się chwaliły, że to one swym trudem i poświęceniem przysporzą funduszu szkole bialskiej. Niech czytelniczki „Przeglądu“ nie sądzą, że jestem zatwardziałym nieprzyjacielem płci pięknej, ale nienawidzę po prostu strojenia się w cudze piórka, a nasze filantropijne damy z małym wyjątkiem tylko stroić się potrafią jak w piórka, w kapelusze, w falbanki, tak w trudy i poświęcenia.

Odwołam mój zarzut, jeżeli nasze damy same pomiędzy sobą zbiorą 30,000 rubli na gimnazyum żeńskie w Krakowie. A nie wielka zaiste byłaby to sztuka: niech milionerki dadzą po tysiąc reńskich, półmilionerki po 500 złr., stotysięczne po sto złr., adwokatowe, lekarzowe, kamieniczniczki po 25 do 50 złr., reszta niech złoży po parę lub kilka reńskich, a zbierze się suma dwa razy większa niż potrzeba. A będą miały i tę satysfakcyą, że obejdą się bez niegodziwych mężczyzn.

Tę korespondencyą mężko-żeńską muszę zakończyć aktem sprawiedliwości. Składka centowa na restauracyą Wawelu doszła w ciągu jednego roku do 20,000 złr. Pomysł i wykonanie zawdzięczać należy pani Ulanowskiej, matce profesora uniwersytetu, znakomitego historyka prawa polskiego. Trud to był prawdziwy, a i ofiarność niemała, bo wiadomo dobrze, iż zacna inicyatorka bierze sama znaczny udział w tym podarku narodowym, pokrywając przytem wszystkie nieuniknione koszta administracyjne. Ale p. Ulanowska nie jest w całem znaczeniu tego słowa „naszą damą,“ bo przybyła do nas z zaboru rosyjskiego.

Nasze damy, „na których sercach nikt się nie zawiedzie“ (styl reporterski) urządzają jutro wielki festyn ogrodowy na dochód dotkniętej trzęsieniem ziemi Lublany. Mężczyźni, gotujcie portmonetki, aby chwała tych serc rozeszła się i w południowej Słowiańszczyźnie.

K. Bartoszewicz.

KRONIKA WIEDEŃSKA.

Wiedeń, d. 6 maja 1895.

Przed zmianą gabinetu. — Hrabia Badeni. — Nuncyusz papiezki i polityka Węgier. — Banffy i Kalnoky. — Kryzys odłożona.

Jesteśmy w przededniu zmiany politycznej, bodaj czy nie katastrofy. Przesilenie w krótkim już czasie nastąpić musi, gdyż dalej stanowczo ani działać, ani radzić nie będziemy w stanie. W gabinecie ministrów odosobnienie. Oprócz ministra finansów Plenera, który ma spory zastęp swoich przyjaciół, wszyscy inni z połączonej lewicy są osamotnieni. W Kole polskiem panuje z obydwóch ministrów rodaków niezadowolnienie. Powiadają, że pan Jaworski jest coraz bardziej głuchy i niesłyszy, jak się należy, uwag w Radzie ministrów, a Madeyski, którego uważano za najtęższego członka w delegacyi polskiej, rozczarował bardzo nieprzyjemnie swoich przyjaciół. Najbardziej jednakże niemiłym faktem dla koła jest pewność, że w składzie teraźniejszej większości nie zajmuje ono już tego stanowiska, jakie posiadało za przeszlego ministerstwa.

To położenie wskazuje jawnie na fakt, że o dymisyi gabinetu mówi się już głośno i prawi o czasie dwóch lub trzech miesięcy, potrzebnych do jego ustąpienia. Ciekawem jest, że kiedy niedawno temu jeszcze mówiono o hr. Thunie, namiestniku czeskim, jako o przyszłym prezesie ministrów, obecnie występuje naprzód osoba namiestnika Galicyi, hrabiego Badeniego. Badeni jednakowoż już dzisiaj stawia warunki, a pierwszym jest: zniesienie prawa wyjątkowego w Pradze. W niedługim czasie dowiemy się o wyniku tych pogłosek.

Węgry wrą i kipią. Zmiany i reformy, jakie rząd zaprowadzić zamierza w sprawach religijnych, natrafiły na bardzo ostrą krytykę i opozycyą. Szczególniej ze strony Słowian węgierskich czynią możliwie wszystko przeciw rządowi i przeciw żydom. W ostatnim tygodniu nuncyusz papiezki Agliardi przedsięwziął podróż po Węgrzech i nietając jej celu, wszędzie, gdzie się zatrzymał, zachęcał kler i katolików do opozycyi w sprawie reform religijnych i zaprowadzenia cywilnych ślubów. Prezes ministrów Banffy, niebardzo wśród swoich popularny, chciał się uczynić odrazu zdobywcą serc węgierskich i w gwałtownej mowie skarcił postępowanie Monsigniora. Chcąc mowie swojej nadać większego znaczenia, powołał się na wspólność opinii ministra spraw zewnętrznych, hr. Kalnoky'ego, po którym niespodziewano się w Watykanie ostrzejszej opozycyi.

Zrobiło to kolosalne wrażenie między wszystkiemi partyami, a wywołało naturalnie ze strony Kalnoky'ego w „Politische Correspondenz“ artykuł inspirowany przeciw Banffy'emu, że minister spraw zewnętrznych o niczem podobnem nie wie, że prezydenta ministrów do żadnych w jego imieniu oświadczeń nieupoważniał, i że w ogóle nie ma na to wcale dowodów, jakoby Monsigniore Agliardi mieszał się do spraw wewnętrznych węgierskiego państwa. Trudno o większą sprzeczność w zdaniach! Nastąpiło więc to, co nastąpić miało. *Aut — aut*, Kalnoky albo Banffy, obydwaj są od wczoraj w Wiedniu, a jak ostatnie wiadomości głoszą, Kalnoky podał cesarzowi prośbę o dymisyą. Dotąd niewiadomo, czy monarcha ją przyjmie, a cała sprawa przyjmuje bardzo nieprzyjemny obrót.

Banffy bowiem grożąc ustąpieniem, żąda koniecznie dla siebie satysfakcyi za tak bezwzględne i potępiające go wystąpienie Kalnoky'ego, który jak widać, więcej dba o przyjaźń z Watykanem, jak o dobre porozumienie się z Węgrami. Wobec tego partya liberalna obecnie rządząca w Peszcie oświadczyła w swojej wczorajszej rezolucyi, że nie jest w możności ze swojego grona innego gabinetu koronie oddać do rozporządzenia.

Ustąpienie Banffy'ego równać się więc może ustąpieniu liberalnej partyi, a z nią prawdopodobnemu rozwiązaniu parlamentu węgierskiego. Załatwić sprawę może tylko ustąpienie Kalnoky'ego, gdyż wtenczas chodzić będzie tylko o kryzys personalną i zastąpienie ministra spraw zagranicznych kim innym. Wypadki te są tak ważne, że wobec nich wszystkie inne sprawy austryackiej monarchii w tej chwili stanęły, czekając rozwiązania konfliktu: Budapeszt, Wiedeń, Rzym.

Pisząc te słowa, dowiaduję się, że cesarz przyjął Banffy'ego celem wysłuchania jego wywodów, — przyjął również i prezydenta ministrów Cislitawii Windisch-Graetza. Konferencya trzymana jest w tajemnicy. W Budapeszcie liberalizm i żydowstwo węgierskie żąda koniecznie usunięcia Kalnoky'ego z urzędu ministra spraw zagranicznych. Banffy zaś niepewne ma stanowisko u korony: po audyencyi u monarchy, w nocy Wiedeń opuścił.

Wieczorna „Allgemeine Zeitung“ donosi, że osobistemu wdaniu się cesarza w całą tę sprawę udało się kryzys usunąć i wszelkie nieporozumienie na razie zażegnać stanowczem żądaniem pozostania obydwóch ministrów na stanowisku, przynajmniej do zjazdu delegacyi państwa. Nastąpi on w jesieni. — *Vederemo.**)

*) Przesilenie zostało istotnie zażegnane i obaj ministrowie pozostali na stanowiskach. Przyp. Red.

Xi.

NA WYŁOMIE.

(Nieodzowny środek na zabicie prasy polskiej. Dziennikarska miłość! Procesy. „On dit“. Nie ma lekarstwa).

Wysilał Bismark swój mózg polityczny, aby prasie polskiej „*Requiem*“ zaśpiewać. Dręczono ją, bito, ścigano jak zwierza po kniei, ale zamiast wesołego „Halali“ słyszano tylko klątwy myśliwych w bezowocnej nagance. Był wprawdzie sposób niezawodny dla radykalnego wytępienia znienawidzonych „rycerzy pióra“, lecz mądry książę dzielił w tym wypadku los wielu sławnych dyplomatów: Szukał gdzieś daleko w czeluściach piekielnych smoły i ognia na zagładę wroga, ale nie widział, że tuż pod ręką ma skuteczne śmierci narzędzie. Ot! prosty sposób. Gdyby tak pewnego pięknego poranku ogłoszono dekret, że wszystkim polskim redaktorom nakazuje się nosić karabelę u boku i na uczczenie tej wiekopomnej „koncesyi“ urządzić wspólną biesiadę, to nazajutrz stanęłyby machiny w drukarniach naszych i tylko „Posener Ztg.“ doniosłaby w rubryce „Polnisches“, że polscy dziennikarze spotkawszy się oko w oko z karabelą w ręku, wysiekli się nawzajem do szczętu, a ostatni, którego nikt na łono Abrahama wyprawić nie zdołał, zapił się na śmierć z entuzyastycznej radości nad strasznym pogromem kolegów. I byłaby wielka cisza na poznańskim bruku, i byłby wielki tryumf w pałacu Bismarka. Polska prasa istnieć przestała!

O! szanowni koledzy — ty gruchających gołębi gromado! — jakże mnie rozczulacie miłością swoją. Prawdą a Bogiem, to my „z dziennikarskiego cechu“ na całym świecie mamy opinją kłótliwej rodziny, ale z stosunkami poznańskiego partykularza chyba jedna Ameryka iść może o lepsze. W ostatnim mianowicie czasie zdeptano nawet resztki pozorów i kto wie, czy przy najbliższej okazyi na wzór „Arizona — Kickerów“ nie zaczniemy sobie szyb wybijać i z rewolwerów strzelać. Kto tu zawinił, kto rozgoryczył do tego stopnia redaktorski ludek, tej kwestyi w dwóch słowach rozstrzygać nie można. Trzebaby napisać historyę Księstwa w ostatnich latach istnienia naszego i zszeregować wszystkie gatunki broni, wyprowadzone na arenę politycznych bojów.

Deptano zuchwale zasady parlamentaryzmu i uczciwości, kuto oszczerstwa, fabrykowano bojkoty, zaglądano wzorem detektywów za kotary życia prywatnego i rozpętano wszystkich szatanów małostkowych zazdrości, aby dokuczyć przeciwnikom i upokorzyć rywali. I oto dziś ta prasa poznańska tak się upiła nienawiścią, tak zaskorupiała w wzajemnym wstręcie, tak zdemoralizowała społeczeństwo całe, że wśród intryg, napaści i trujących złości sprawa publiczna paść może ofiarą.

Wspominałem już niegdyś dzieje owej kasy dziennikarskiej, która zabezpieczyć miała drużynę prasową na wypadek kalectwa i starości. Myśl wyszła z Galicyi, podjęto ją w Poznaniu i zwołano do francuzkiego hotelu redaktorskie zebranie. Zdawaćby się mogło, że tu, gdzie polityka żadnej nie odgrywała roli, a wspólny interes materyalny wymagał pracy zbiorowej, wszyscy jak jeden mąż staną do apelu. — cóż? pięć czasopism zasiadło do stołu, a trzy inne uznały, że z takiem towarzystwem obcować nie mogą. Zerwane wszystko! Tak długo pastwiono się nad przeciwnikami, że ludzie tracą już zdolność różniczkowania, że nienawiść rozciągają na wszystkie stosunki i nie politykiem tylko, lecz człowiekiem gardzą.

A teraz wkraczamy w erę procesów. Dawniej procesował nas Bismark, dziś procesuje się swój ze swoim. W całej Europie jest przyjętym zwyczajem, że tylko w nadzwyczajnych wypadkach gazeta gazetę pozywa przed kratki sądowe o *crimen* obrazy — w Warszawie, o ile mi wiadomo, jedynie „Rola“ antisemicka ogólnym prawidłom nie podlega. U nas, na mocy milczącej ugody redaktorskie pieniactwo należało również do rzadkich wyjątków, — kłócono się i szarpano ostremi piórami, ale trybunałów pruskich nie wołano w charakterze rozjemców. Dziś inne wiatry zawiały, — dziś na wokandzie błyszczą posępnie nazwiska polskich redaktorów. Jeżeli mnie pamięć nie myli, to pierwszy „Postęp“ zagroził publicznie w obec bezustannych napaści organów „ładu i porządku“, że przy najbliższej okazyi zażąda satysfakcyi w drodze procesu. Niebawem dowiedzieliśmy się, że współpracownik „Kuryera Poznańskiego“ p. dr. Łebiński wytoczył „Gońcowi Wielkopolskiemu“ proces o obrazę i uzyskał wyrok na 500 Mr. grzywny. Obecnie rozgrywa się proces między „Wielkopolaninem“ a „Gońcem Wielkopolskim“ i w pierwszej instancyi zakończył się zasądzeniem pierwszego na 50 marek kary, a w ostatniej chwili dowiadujemy się, że stronniczy i obraźliwy referat z tego procesu w „Dzienniku Poznańskim“ stał się powodem nowej skargi ze strony „Gońca Wielkopolskiego“. Nie koniec na tem. W powietrzu wisi podobno jeszcze kilka pokrewnych procesów i pieniactwo rozkwita z wiosną aż miło.

Badając przyczyny tej bijatyki z kodeksem i paragrafami w ręku, muszę tu powtórzyć pewne „*on dit*“ kursujące od pewnego czasu po mieście i prowincyi. Opowiadano mi, że w chwili świeżych zamieszek politycznych, gdy „Goniec Wielkopolski“, „Orędownik“ i „Postęp“ zerwały się do walki przeciw wybrykom lojalizmu naszego i niesłychanemu teroryzmowi stronnictwa „ładu i porządku“, poruszono w pewnych kołach konserwatywnych myśl, aby „pisemka opozycyjne“ zniszczyć procesami. Gdy namiętności rozpalone, gdy krew kipi w żyłach a w sercu piecze poczucie krzywdy doznanej, wtedy dziennikarz-polemista zapomina często o literze prawa i nazywa rzeczy po imieniu, którego bezkarnie wymówić nie wolno. Prasie opozycyjnej brakło doświadczenia i rutyny, a zresztą deptana bezustannie ofiara zręcznych bezprawi traciła równowagę i dyszała zemstą. Wtedy szepnęli mężowie „ładu i porządku“: „Procesujmy! Niech płacą, aż im bankructwo zarygluje usta!“ Redakcye konserwatywne w kampanii tej stanęły na uboczu, ale z pewnych notatek w „Kuryerze“ i „Dzienniku Poznańskim“, oraz z prywatnych wynurzeń „panów redaktorów“ jasnem się stało natychmiast, że reżyserów wojny procesowej szukać należy w oficynach dziennikarskich. To spowodowało „Postęp“ do owej pogróżki cytowanej powyżej, to rozgoryczyło niezawodnie i „Gońca Wielkopolskiego“.

„Stronnictwo „ładu i porządku“ — mówiono sobie — pragnie nas finansowo zmarnować w drodze procesów, — my zatem „krew za krew“

odpłacimy się organom tego stronnictwa, a materyałów do skargi znajdziemy pod dostatkiem w ich zuchwałych, obelgą i kalumnią operujących napaściach". Zawrzała tedy walka zacięta, której rezultat dla nikogo nie jest zagadką. Sakiewki redaktorskie schudną jak Sara Bernhardt, a trzosy adwokatów i sądów utyją jak — no! domyślcie się, — mieszka na Św. Marcinie.

Obowiązkiem feljetonisty byłoby na zakończenie diagnozy zalecić jaką miksturę, aby powstrzymać rozwój choroby, — ale przyznaję otwarcie, że w moich aptekach nie ma na to środka. Gdyby powstał jaki nowy Pasteur i wynalazł limfę cudowną przeciw wściekliźnie moralnej, powitałbym go grzmiącym „Hosanna" i „Alleluja" — dziś nie pozostaje mi nic innego, jak zrobić minę lekarza, któremu prezentują raka żołądkowego lub trąd azyatycki. Była chwila, w której marzyłem o założenin stowarzyszenia dziennikarskiego z stałym sądem rozjemczym i spodziewałem się pięknych owoców po tej instytucyi. Dziś jednak, wnikając coraz głębiej w czeluście naszych stosunków, widzę dokładnie, że chwilowo wszelkie wysiłki w tym kierunku rozbić się muszą nie o polityczne różnice, lecz o niechęci osobiste, które nurtują w świecie dziennikarskim z niepowstrzymaną potęgą, wiecznie syczące i trucizny pełne. Kiedyś — gdy od steru dzienników naszych usuną się ludzie nienawiścią pijani, — gdy ustąpią z areny ci wszyscy, którzy zdemoralizowali społeczeństwo i prasę chorobliwą zazdrością i brutalną zasadą „przez cel uświęconego środka". — gdy na czele całego dziennikarstwa staną młodsze siły, dla których tolerancya cudzych przekonań i uczciwość w polityce nie są pustym frazesem, — wtedy dopiero organizacya prasy i reforma stosunków z dziedziny marzeń przejdą w rzeczywistość.

Sulla.

KRONIKA LITERACKA.

Mścisław Edgar Trepka. Anglia i Anglicy. Studya. Warszawa. Teodor Paprocki i S-ka. 1895.

Społeczno-ekonomiczne studya te, pierwotnie drukowane w Ateneum, składają się na dość dużej objętości książkę z zakresu, który w literaturze polskiej leży ugorem. Czytelnik z pewnością da jej pierwszeństwo nad przekładami, gdyż, jak to wynika z natury rzeczy, autor uwzględnił punkt widzenia rodaków. P. T. posiada dwie cenne cechy, torujące drogę w publicystyce: staranny i poprawny styl oraz dar sterowania z pomocą tegoż z dala od raf i punktów spornych. Styl jego jest wielokrotnie sam sobie celem i maskuje nieco bladą [illegible]ntacyą, dzięki której wszakże studya, nie przeciążone wycieczkami w głębiny życia społecznego i dziedzinę etyki, stają się przystępne i poczytne. Wszystkich tych atoli, których oko nie ślizga się po powierzchni rzeczy, musi razić pewien brak indiwidualnego zapatrywania i konwencyonalny sposób traktowania przedmiotów. Niewątpliwie jednak na sumiennych i źródłowych studyach oparte rozprawy czynią z książki tej doskonałe źródło informacyjne, godne polecenia. Do najciekawszych z pomiędzy kilkunastu prac należą: Anglo-Sasi jako rasa przyszłości i Era Wiktoryi. Rzecz o kanclerzu hrabim Shaftesbury, którego pomawiano o pretendowanie do korony polskiej i zwano szyderczo hrabią Tapskim, nie budzi żywszego interesu. Zbyt szczegółową pracą jest streszczenie słynnego dzieła Karola Dilkego p. t. Greater Britain, — Kolonialna potęga Wielkiej Brytanii. Autor podejmuje też zdanie tego pisarza w pracy o Anglo-Sasach, zwiastujące, że przed dwoma szczepami stoi otworem przyszłość: Anglo-sasami i Słowianami. Dzieło całe daje wierny obraz instytucyi angielskich jak n. p. bibliotek i uniwersytetu londyńskiego, ustroju municypalnego, stosunków agrarnych i robotniczych oraz kwestyi samorządu Irlandyi i kończy ciekawą i jedną z najlepszych rozpraw o ważnym społecznym problemacie: Pijaństwie i Wstrzemięźliwości.

N.

*

Redakcya „Czasu" ogłasza niniejszem konkurs na napisanie noweli oryginalnej, odpowiedniej do feljetonu „Czasu". Termin konkursu upływa dnia 15go lipca b. r. Nowelle winny być przed upływem tego terminu nadesłane w odpisie czytelnym do redakcyi „Czasu" bezimiennie z godłem i z dodaniem zamkniętej koperty, temże godłem zaopatrzonej, a zawierającej nazwisko autora. W końcu miesiąca lipca wynik konkursu ogłoszonym zostanie w „Czasie".

Za najlepszy i celom feljetonu dziennika najbardziej odpowiedni utwór wypłaci redakcya „Czasu" autorowi nagrodę 300 złr., za drugi do tych celów najbardziej się zbliżający 100 złr. Redakcya zastrzega sobie prawo pierwszeństwa do ogłoszenia w „Czasie" za wypłaceniem zwykłego honoraryum wszystkich tych nadesłanych utworów, zarówno nagrodzonych, jak i innych, które uzna za odpowiednie, a nadto prawo wydania wszystkich w „Czasie" wydrukowanych nowel z tego konkursu, bez dodatkowego wynagrodzenia autorów w osobnej odbitce, w jednym nakładzie. Wydanie to może być także odstąpione której z firm księgarskich.

* * *

Pan dr. Bolesław Erzepki, konserwator Tow. Przyj Nauk w Poznaniu otrzymał od Akademii umiejętności w Krakowie nagrodę im. Lindego (675 rs.) za pracę p. t. „Słownik łacińsko-polski Bartłomieja z Bydgoszczy z r. 1532." Praca dr. Erzepkiego jest cennym przyczynkiem do lingwistyki polskiej.

* * *

Nr. 9 Przeglądu Wszechpolskiego, dwutygodnika politycznego, społecznego i ekonomicznego, wychodzącego we Lwowie, odznacza się wielkim doborem treści i obfitością cennych informacyi. Na uwagę zasługuje artykuł p. t. „Znaczenie polityczne wychodztwa."

* * *

Wincenty Rapacki (syn). Plama. Obrazek w jednym akcie wierszem. W Poznaniu. Nakładem i czcionkami W. Simona 1895 — Co mówi serce? Poezye. 1895.

Ruch wydawniczy w zaborze pruskim ujawnił w ostatnim lat dziesiątku symptomy zatrważającej senności. Bujne życie, związane z nazwiskami takich Zupańskich i Kamieńskich, należy dziś już do historyi, a księgarnie poznańskie ograniczają swoją działalność niemal włącznie na wydawnictwach ludowych i dewocyjnych. Dawniej drukowaliśmy Lelewelów, Jarochowskich, Nehringów i t. d., dziś drukujemy „Cudowne leki na śmiertelne strachy". „Chleb św. Antoniego" i „Historye o złotoskrzydłych rycerzach." Jedynie pan Karól Kozłowski zaryzykuje od czasu do czasu wydawnictwo wyższego stylu, — reszta lęka się jak zarazy już nietylko naukowych publikacyi, ale nawet belletrystyki o poważniejszym zakroju. To też z uczuciem miłego zdziwienia powitałem na pułkach księgarskich dwa utwory Wincentego Rapackiego (syna), wydane w najświeższym czasie, nakładem W. Simona w Poznaniu. Pan Rapacki nie jest bynajmniej nowicyuszem w zawodzie literackim. Z nazwiskiem jego spotykaliśmy się nieraz w pismach warszawskich, a mianowicie w „Echu muzycznem i teatralnem", gdzie ukazywały się od czasu do czasu zręczne bluetki sceniczne i liryczne poezye młodego autora. W ostatnim zaś czasie, gdy dyrekcya teatru poznańskiego zaliczyła do składu trupy miejscowej zdolnego pisarza — p. Rapacki jest z zawodu artystą dramatycznym — ogłosił „Przegląd Poznański" i „Goniec Wielkopolski" kilkanaście humorystycznych monologów i melodyjnych wierszyków aktora-poety. Maleńki zbiorek poezyi p. t. „Co mówi serce?" składa się przeważnie z utworów rozrzuconych już dawniej po czasopismach naszych — utworów, których wartość artystyczna jest bardzo nierówna. Nie ma tam wytwornej formy epigonów Słowackiego, nie ma siły Konopnickiej, nie ma oryginalnej fantazyi i syczącej boleści Kasprowicza, ani smutnej melancholii Tetmajera, ale jest niekiedy trochę sennej zadumy, ujętej w rytmy muzyczne, i niekiedy szczery krzyk ludzkich uniesień i żalów. W dźwiękach tych razi jednak miejscami pewna pospolitość obrazów, brak głębi uczuciowej i szerszego lotu. Do najlepszych utworów całego zbiorku należy część druga, gdzie rytmy i wiązania wzorowane są według pewnych temp i form muzycznych. W tych drobiazgach wyśpiewanych „allegretto", „largo" lub „scherzando", w tych „affektuosach" i „sostenutach" są gdzieniegdzie przejawy prawdziwego talentu, a do najpiękniejszych zaliczam wiersz; „Misterioso".

Drugiemu utworowi p. Rapackiego p. t. „Plama" poświęcił „Przegląd Poznański" już przed kilku tygodniami wzmiankę krytyczną. Jest to jednoaktowy obrazek sceniczny, w którym autor w pięknej formie wiązanej przeciwstawił prawdziwej sztuce — zyskowne rzemiosło, obrazom malowanki. Ze stanowiska techniki utwór ten niewątpliwie posiada pewne usterki; tendencya występuje tu na plan pierwszy, krępując akcyą i plastykę postaci, a bohater komedyi, młody malarz, który raz jeden w życiu sprzeniewierza się ideałowi, lecz w końcu zmywa swą „Plamę" — drąc w kawałki jarmarczny obrazeczek, schlebiający gustom pospólstwa — bohater ten, który jest osią całego utworu, kryje się gdzieś w pomroku, za mało żyje, za mało działa na scenie. Mimo to jednak jest w obrazku pana Rapackiego ta siła orzeźwiająca, która tryska jedynie z głębokiej wiary w jakąkolwiek ideę, czy to społecznej, czy filozoficznej, czy artystycznej natury. Autor ukochał serdecznie myśl swoję i pragnąc, pragnie gorąco:

„Na Boga, posłuchajcie, ja wiem, że żyć trzeba,
Każda praca szlachetna, ale bez obłudy,
Bez podłej hipokryzyi, bez tego płaszczyka,
Co pod skórą artysty kryje rzemieślnika!
Idź, idź, pomnóż szeregi dzisiejszej młodzieży,
Co tylko w siłę złota i banknotów wierzy!
Rób dalej obrazeczki bez wartości żadnej,
Nie dbaj, aby twój utwór tchnął prawdą i życiem,
Aby celował wiernem twej duszy odbiciem,
Tylko, aby był smaczny, szykowny, lub ładny,
I staraj się, by wszyscy mieli to pojęcie!
Pamiętaj o tytule i o sentymencie,
Wystawiaj obraz tak, jak towar na jarmarku,
Za pieniędzmi leć w błoto na złamanie karku!
Wszak to oręż, co wszelkie przeciwności kruszy,
Wtenczas staniesz się modnym, obsypią cię gradem
Pochwał i pochlebstw, uczczą składkowym obiadem,
Będziesz się kąpał w sławie aż po same uszy,
I będziesz tylko myślał o nowym sposobie,
Jakby się dobrze najeść, jak się prędko zaśnie,
Potem zgaśniesz, jak płomień fajerwerku gaśnie,
I za miesiąc pies nawet nie wspomni o tobie!
Kto nie ma sił do walki, komu sztuka zbrzydła,
Niech ją rzuci zupełnie, weźmie się do szydła,
Lecz niechaj nie frymarczy tem, co było święte!"

Ten gniew i protest stanowią duszę całego utworu a są tak szczere, tak proste i silne, że czyta się ten obrazek sceniczny z zajęciem i przebacza autorowi chętnie techniczne usterki.

Wł. R.

KRONIKA POWSZECHNA.

Wiadomości społeczne i polityczne. We wtorek rozpoczęły się w parlamencie niemieckim obrady nad ustawą przewrotową. — Minister Koeller zamierza sejmowi pruskiemu przedłożyć jeszcze w bieżącym roku projekt do nowego prawa o stowarzyszeniach i zebraniach. Projekt ten zawiera podobno znaczne obostrzenia i tchnie ideą ustawy przewrotowej. — Na poniedziałkowem posiedzeniu parlamentu niemieckiego przemawiał poseł nasz Leon Czarliński przy obradach nad wnioskiem posła Elma dotyczącym uregulowania prawa o stowarzyszeniach. — Wybór wolnokonserwatywnego posła do parlamentu p. Dziembowskiego został unieważniony. Deputowany ten posłował z okręgu babimojsko-wolsztyńskiego.

Zjazdy i kongresy. Zjazd przemysłowy odbędzie się w Poznaniu 13., 14. i 15. lipca. — Walne zebranie „Związku katolickich Towarzystw nauczycielskich W. Księstwa Poznańskiego" odbędzie się 4. i 5. czerwca w Poznaniu. — W Frankfurcie nad Menem odbył się trzeci kongres historyków niemieckich.

Teatr i muzyka. Towarzystwo dramatyczne teatru poznańskiego udało się na gościnne występy do Inowrocławia. — Występy gościnne Edmunda Rygiera we Lwowie cieszą się zasłużonem powodzeniem. — Dyrekcya „Teatru Nowości" w Warszawie ogłasza dla wzbogacenia repertuaru konkurs na napisanie farsy polskiej z kupletami w 4 lub 5 aktach. Pierwsza nagroda wynosi rs. 150 gotówką oraz 10 proc. od dochodu „brutto" z przedstawienia nagrodzonej sztuki w „Teatrze Nowości". Druga nagroda wynosi rs. 75 oraz 8 proc. od dochodu „brutto". Nazwiska sędziów ogłoszone zostaną w dniu 1. czerwca rb.; rezultat konkursu opublikowany będzie dnia 1. kwietnia r. 1896. Adresować sztuki konkursowe należy do p. Feliksa Kwaśniewskiego (Nowy Świat nr. 45 w Warszawie. „Teatr Nowości" jest to sezonowy teatrzyk ogródkowy w Warszawie. — Na scenie teatru lwowskiego wystawiono nowy jednoaktowy dramat Fr. Zwilkońskiego p. t. „Za późno". Krytyka przyznaje utworowi temu pewne zalety literackie, [illegible] odmawia mu jednak warunków scenicznych. — W P[illegible]u ukaże się niebawem w formacie książkowym dramat p. Walerego Łebińskiego p. t. „Ambicye". — Artystyczny kierunek warszawskiego teatru „Wodewil" objął Michał Wołowski. — Opera Jarosława Vrchlickiego „Burza" z muzyką Zdenka Fibicha, przedstawiona w „Pradze Czeskiej", doznała wielkiego powodzenia.

Zmarli:

Dr. Lucyan Ryde, znakomity lekarz-okulista, profesor wszechnicy Jagiellońskiej, zmarł 27. kwietnia w Krakowie.

Gustav Freitag, słynny powieściopisarz niemiecki, zmarł 30. kwietnia w Wiesbadenie.

Ludwik Kurtzmann, wytworny tłomacz Słowackiego, Syrokomli i Pola na język niemiecki, znawca i wielbiciel literatury polskiej, zmarł 1. maja w Szymanowie pod Rawiczem.

John Bell, wybitny rzeźbiarz angielski, zm. 1[illegible] kwietnia w Londynie.

Prof. James Dana, słynny amerykański przyrodnik i geolog, zm. w pierwszych dniach maja w New-Haven.

Odpowiedzi Redakcyi.

Belle blonde aux yeux noirs. Nie, piękna pani, to nie Seweryn D. lecz Zofja D. Więcej powiedzieć nie możemy.

En. Prosimy zgłosić się do redakcyi.

Fr. G. Czasopismo humorystyczne „Momus" przestało już wychodzić od dawnego czasu. „Momus" z greckiego „Momos", bóg ironii i satyry.

K-r-t. Wyraz „radirunek" jest wprawdzie używany gdzieniegdzie w potocznej gwarze malarskiej, ale poprawnie mówi się „kwasoryt."

Za nakład i redakcyą odpowiedzialny: Roman Przyborowicz z Poznania. — Nakładem „Przeglądu Poznańskiego". Czcionkami W. Simona w Poznaniu.